

# PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 12 (181)

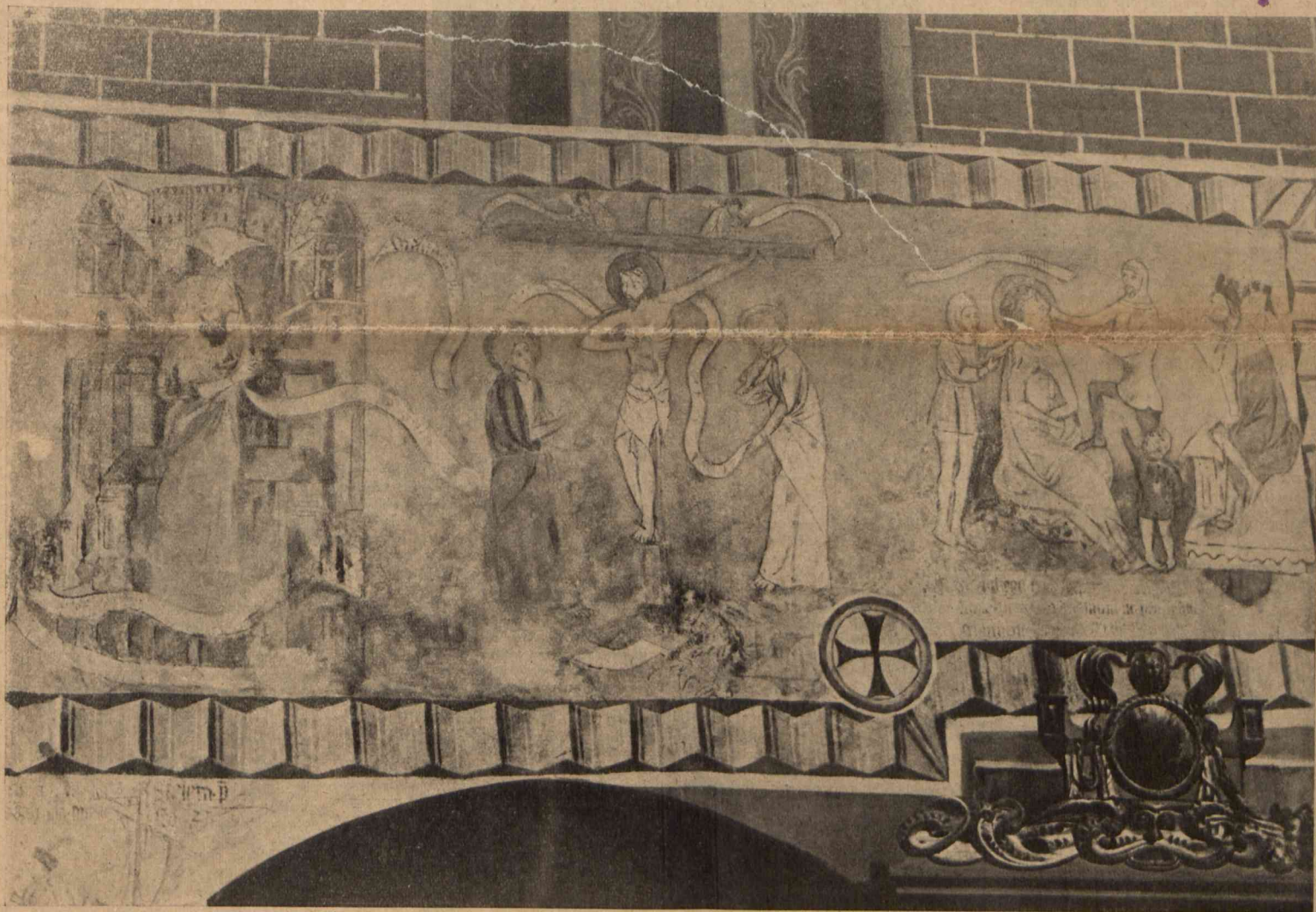
WARSZAWA

25 MARCA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Z WIEKU DAWNEGO



ZAMĘT CIĘŻKI DOSTAŁ SIĘ MNIE, UBOGIEJ ŻENIE,  
WIDZĄC ROZKRWAWIONE ME MIŁE NARÓDZENIE.  
CIĘŻKA MOJA CHWILA, KRWAWA GODZINA,  
WIDZĄC NIEMIERNIEGO ŻYDOWINA,  
IŻ ON BIJE, MĘCZY MEGO MIŁEGO SYNA.

SYNKU MIŁY I WYBRANY,  
ROZDZIEL Z MATKĄ SVOJE RANY!  
A WSZAKOM CIĘ, SYNKU MIŁY, W SWEM SERCU NOSIŁA,  
A TAKIEŻ TOBIE WIERNIE SŁUŻYŁA.  
PRZEMÓW K MATCE, BYCH SIĘ UCIESZYŁA,  
BO JUŻ IDZIESZ ODE MNIE, MOJA NADZIEJA MIŁA!

SYNKU! BYCH CIĘ NISKO MIAŁA,  
NIECO-Ć BYCH CIĘ WSPOMAGAŁA:  
TWOJA GŁÓWKA KRZYWO WISA — TO-Ć BYCH JĄ PODPARŁA.  
KREW PO TOBIE PLYNIE, — TO-Ć BYCH JĄ UTARŁA:  
PICIA WOLASZ. — PICIA-Ć BYCH CI DAŁA,  
ALE NIELZA DOSIĄC TWEGO ŚWIĘTEGO CIAŁA!

O, ANGIELE GABRYJELE,  
GDZIE JEST ONO TWE WIESIELE,  
CÓŻEŚ MI GO OBIECOWAŁ TAKO BARZO WIELE?  
A RZEKĄCY: PANNO! PEŁNA JEŚ MIŁOŚCI!  
A JA PEŁNA SMUTKU I ŻAŁOŚCI!  
SPRÓCHNIAŁO WE MNIE CIAŁO I MOJE WSZYTKI KOŚCI!...



ROMAN KOŁONIECKI

# „KIEDY KATEDRY BYŁY BIAŁE”

Zeszłorocznej podróży Le Corbusiera do Ameryki zawdzięczamy jego nową książkę — żarliwą, fantastycznie subiektywną i zachwycającą<sup>1</sup>. Jest ona pamiętnikiem dalekiej apostołkiej wędrówki, jeszcze jednym prometejskim gestem bojownika nowego świata, co przywrócić ma dostojność najdrobniejszemu molekułom ludzkości. O cóż bowiem Le Corbusier walczy od wielu już lat na wszystkich giełdach kultury europejskiej? O zdrowie i radość serca dla każdego człowieka, o urodę i szczęście dnia dzisiejszego. Rozpiętość jego planów i ich wielowarstwowe podłoże doktrynalno-społeczne sprawia, że za prefigurację swoistej koncepcji architektury Le Corbusiera i jego marzeń o urbanizmie nowoczesnym można by uznać bez egzaltacji mezopotamski mit o raju Adamowym, mit, który ma załudnić Europę XX-go wieku przepyszną fauną i florą przedpotopową z kamienia, żelazobetonu, metalu i szkła.

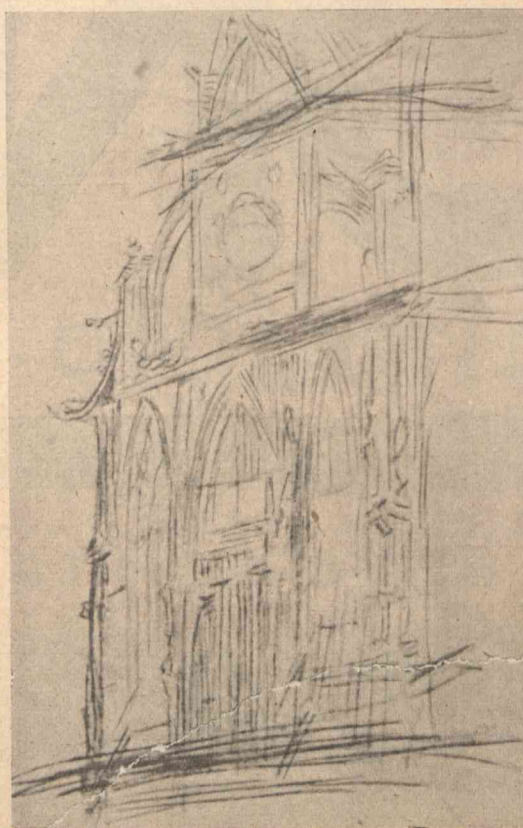
Miasta, zrodzone w wyobraźni Le Corbusiera, toną w tężozwo rozwibrowanym powietrzu nadśrodiemnomorskim, gdyż właśnie Śródziemnomorze jest królestwem wszelkich form w świetle i tu tkwi korzeniami drzewo genealogiczne Le Corbusiera, opianowanego etycznym imperatywem harmonii, piękna i plastyki. Tu ujrzał po raz pierwszy i zapamiętał na zawsze bliźniacze białe wieże, wsparte o niebo niebieskie lub siwopłowe — tak jak ongi, gdy na całym świecie „katedry były białe”. Ta zawarta w lirycznym westchnieniu, dziewicza i młodociana, strzelista biel Domów Bożych, zakwitających w pejzażach średniowiecza, jest refrenem jego najnowszej książki, jej klamrą kompozycyjną, jej monoideistyczną obsesją. Ona także, — ta biel skupiona i ośniewająca, w połączeniu z zielenią platanów i palm, — nadaje dotykalne barwy jego wizjom wielkiego miasta przyszłości.

Swą podróż do Ameryki pojął Le Corbusier jako niesamowitą wycieczkę w głębokości czasów, jako zachłyśnięcie się oddechem pierwotnej młodości ziemi, jako otwarcie cudownego okna, przez które poczyna się wdzierać misteryjny krajobraz średniowiecza i zapachy duchowego przedwiośnia. Gdy przed pasażerem luksuszowej „Normandie”, wypatrującym — jak niegdyś Kolumb — ucieśnionego wybrzeża, wylonił się z mgieł kędzierzawych mistyczny prawie Cień Miasta, fantastyczny profil Manhattanu, jak zębata groźna grań alpejska, jak sen o babilońskich pałacach i wiszących ogrodach Semiramidy, jak ucieleśniona baśń o Wieży Babel — wydawało się wędrowcowi, że ujrzał „świątynię nowego czasu”.... Dopiero później — gdy już zakosztuje gorzkości mijającego złudzenia — nazwie New York „czarodziejską katastrofą”, a całą Amerykę — „krajem ludzi nieśmiałych”, wahających się w połowie drogi, ale za to żywiołowo młodych, jak to dwudziestoletnie „miasto pionowe”, „miasto na stojąco”.

W ideologicznym credo Le Corbusiera prąta średniowiecza i współczesności odgrywa rolę znamionną. Nie ma ona wyłącznie cech malowniczej metafory, barokowej inkrustacji zdobniczej, lecz wyrasta z całkowitego systemu historiozoficznego. Le Corbusier wierzy niezłomnie, że kryzys życia nie zdarza się nigdy, że stoimy u przedproża czasów tak bujnych, jak średniowiecze w kronikarskim opisie burgundzkiego mnicha Glabera z zakonu Benedyktynów: tak jak wtedy, „kiedy katedry były białe”, czas i dzisiaj jest młody, pełen rzeźwości, nowy: „i dziś także świat się zaczyna”.

Uroczne inkantacje średniowieczne Le Corbusiera mają wiele wspólnego z koncepcjami ideowymi Mikołaja Bierdiajewa, z jego rojeniami o średniowieczu nowym, wskrzeszonym i odmłodzonym. Ideal średniowiecznej wspólnoty — wzorowa gmina chrześcijańska — staje się dla Bierdiajewa ustrojem doskonałym. Nadkrajowy i nadnarodowy universalizm chrześcijański przeobraża się u Le Corbusiera w mądry kosmopolityzm, pacyfizm i humanitaryzm, które jedynie są w stanie zapewnić odpowiednie warunki dla rozwoju współczesnej twórczości. Narodowościowe zróżniczkowanie stylu architektury współczesnej staje się tak głębokie i zarazem tak niepozorne, jak w muzyce dzisiejszych kompozytorów. Zachwyt Le Corbusiera nad nieskalaną białością katedr francuskich, podobną do białości ateńskiego Akropolu i do polysku polerowanych granitów piramid egipskich, jest zachwytem nad uniwersalistycznym mitem kultury.

„Kiedy katedry były białe, Europa zorganizowała rzemiosła w myśl bezwzględnych wymagań techniki całkowicie nowej, niezwykłej, szaleńczo zuchwałej, której zastosowa-



A. RODIN SZKIC Z KSIĄŻKI P. T. KATEDRY FRANCJI

nie prowadziło do systemów form nieoczekiwanych — form, które w istocie wyrzekały się tysiącletniego spadku tradycji i bez wahania pchały cywilizację ku nieznanemu przgodzie. Język międzynarodowy królował wszędzie, gdzie była rasa biała, sprzyjając wymianie idei i rozpowszechnianiu kultury. Styl międzynarodowy krzewił się od Wschodu po Zachód, od Południa po Północ i wzniewał wszędzie namiętą burzę doznań duchowych: miłość do sztuki, bezinteresowność, radość twórczego życia”. Zjemy, według Le Corbusiera, w przededniu takiej samej rewolucji, jaka się dokonała w późnym średniowieczu.

Realizowało ono podstawowy postulat autora *Miasta promieniującego*: jednoczyło w dziełach architektury wolność jednostkową i siły społeczne. Te dwa potężne czynniki w połączeniu z wieloma innymi, jak: ekonomia, polityka, biologia, technika (chemia, fizyka, rachunki), tworzą po społu architekturę dnia dzisiejszego i architekturę jutra. Na odwadze, wynalazczości i geniuszu twórczym jednostek spoczywał obowiązek inicjatywy; pracę podejmowała zbiorowość: naród, kraj, gmina. W wyniku rodziły się dzieła, w których „współlistniały rozum i poezja, które uświecały przyzmię mądrości i przedsiębiorczości”. Obok krwawych konfliktów feudalnych, oblicze średniowiecznego świata kształtowały także wysiłki cichych, anonimowych poszukiwaczy pytagorejskich harmonii, które nasycały ludowy zmysł piękną, wyrażały duchowość nowego społeczeństwa. Tak w średniowieczu odbywał się postęp; mierzał on do pomnożenia światła chwały Bożej, ale

pokora wobec Boga jednoczyła się ze szlachetnym i dumnym współzawodnictwem jednostek i gromad ludzkich.

Gdy społeczność późnego średniowiecza stała się już masą spoiwą i jednorodną, ujętą w ustalony i zamknięty system reguł życiowych — pojawili się artyści, początkowo jako współpracownicy doskonale wkorzeni w środowisko, wprzęgnięci w rytm życia zespołowego. Lecz już niebawem (Odrodzenie) zaczęli się wyodrębniać, przeobrażać w nadklasowych klerków, w ekskluzywną sektę, wyniesioną ponad społeczeństwo; nastąpił zmierzch harmonijnej cywilizacji średniowiecza. Pomniki architektury przestały wyrażać duszę i natchnioną pracę zbiorową, stały się pomnikami chwały swych budowniczych, a właściwie tych, którzy je finansowali. Sztuka stała się pstrym „bazarem próżności”.

Takim samym bazarem próżności są dla Le Corbusiera nowojorskie drapacze chmur — wspaniałe katedry nowego świata. Każdy z nich jest dyktandem na cześć pieniądza i posiadania, porównawczym miernikiem fortuny i karier, cokołem pod posągi półbogów kapitalizmu, wydzwigniętym wysoko ponad dachy ubogich i brzydkich slums. Odzwierciedla się w nich nieposkromiona żądza rekordów, heroizm akrobatyki, kosmiczna niemal sanacja przywileju wolnej konkurencji. Zresztą — nie został wygnany z New Yorku... duch obywatelski: prawo stanowe zabrania budować wielopiętrowe gmachy w kształcie czworokątnych foremnych graniastosłupów, nakazując nadawać im kształt ostrych piramid, neogotyckich iglic, które o-

kalają pierścieniem serce miasta — Giełdę. Zachowano także w śródmieściu fabrykę zdrowia i tlenu w postaci Parku Centralnego, liczącego cztery i pół miliona m kw. powierzchni.

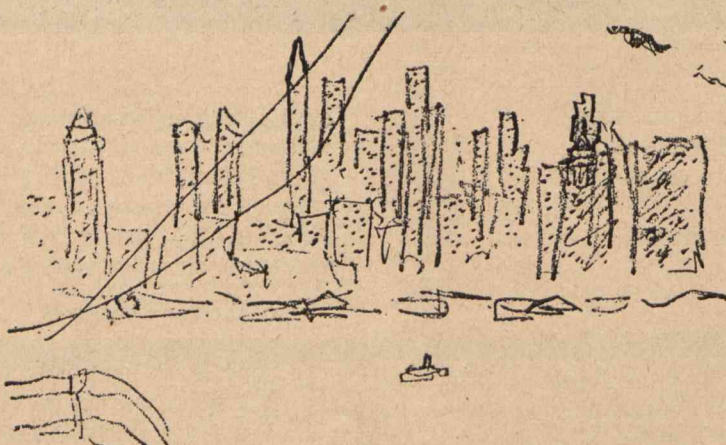
Jak dziwotworna sękowina kamienna, wznosi się Manhattan nad płaszczyzną wód, górując symbolicznie nad posągiem amerykańskiej Wolności. Le Corbusier podziwia ten obłędny wyścig wysokości, ten donkichotyzm obecnej arystokracji pieniężnej. Gdy spojrzeć z 50-go piętra w przepaściste kaniony ulic, zamieniające miasto w wielką szachownicę, na kalejdoskop neonów, girlandy lamp lukowych i mozaikę rozświetlonych okien, ku najpiękniejszemu na świecie mostom nad Hudsonem — jest się jak w gigantycznej kopalni drogocennych przyrządów, w piecach walpurgijskiej nocy, wśród lodowców majestatycznych, rozłamujących na okruchy blask borealnej zorzy.

Manhattan — gniazdo wielościenne kryształowe, które się uformowało w lazurowym rozтворze nieba i oceanu, przypomina mu chimeryczną architekturę San Gimignano w Toskanii, które jest jak olbrzymia poduszka do szpilek: współzawodnictwo tamtejszych Montekich i Kapuletów naszpikowało teren niebotycznymi wieżami i wieżyczkami, pragnąc przyćmić imię rywali. Rozwinął się wtedy już w pełni popęd anarchicznej wolności zubożonego mieszczaństwa średniowiecznego, którego potomkami z ducha są dziś nowo, jorscy królowie stali, kauczuku i nafty. Nad Manhattanem, tak jak i nad San Gimignano, rozpościera się senna atmosfera zmierzchu, feeryczna aura katastrofy. Le Corbusier ma nadzieję, że się uda jej w porę zapobiec przez niezwołny nawrót do porzuconych ideałów epoki, w której „katedry były białe”.

Dydaktycznym wykładem założeń nowej architektury miał się stać jeden z działów tegorocznej wystawy paryskiej, który — z powodu różnych przeszkód, stawianych organizatorom — nie został, niestety, zmontowany. Miał on pokazywać przedstawić ideę „miasta funkcjonalnego” — zbiorową pracę awangardowych architektów z 18-tu krajów, uczestniczących w Międzynarodowych Kongresach Architektury Nowoczesnej. Miał obrazować kolejne stadia budowy fragmentów urbanistycznych, prawdziwe narodziny miasta, biologiczne procesy architektury. W koncepcji „miasta funkcjonalnego” wielką rolę odgrywały pomysły samego Le Corbusiera, wyłożone w dziele *Miasto promieniujące*; obejmują one problem uprzemysłowienia budynków, poszukiwania formy „typowej”, zastosowania najnowszych zdobyczy techniki itd.

Ulepszoną formę nowojorskich gigantów reprezentuje „karczański drapacz nieba”, planowo obmyślony przez Le Corbusiera. Jego cechy: 1) wyzyskanie wszystkich dobrodziejstw najnowszej techniki; 2) znormalizowana wysokość 250 m (60 pięter); 3) ściśle pionowa elewacja fasady, bez żadnych uskoków i wykuszów; 4) rozkład pomieszczeń wewnętrznych uzależniony od wysokości okien — cały blok jest radiatorem dla światła; 5) poziomy rzut fasady dostosowany do ruchu słońca i kierunku stałych wiatrów lokalnych; 6) szkielet stalowy, ściany zewnętrzne ze szkła odpowiedniej grubości; 7) pojemność jednego bloku: 10 tys. — 40 tys. mieszkańców (by środki lokomocji i transportu — metro, autobusy, tramwaje, autostrady — były gospodarczo rentowne); 8) każdy blok jest funkcją swej objętości i powierzchni ziemi u jego stóp, przeznaczony na parki, boiska, pływalnie, stadiony, szosy i t. d. Le Corbusier jest przeciwny współczesnym miastom-ogrodom ze względów zarówno ideowych jak i technicznych (o wadach miast ogrodów z ekonomicznego i populacyjnego punktu widzenia pisze Z. Wojnicz-Sianożęcki — por. *Wiedza i Życie*, 1937, Nr. 2).

Odwiedziny zaatlantyckie umocniły wiarę Le Corbusiera w celowość i wartość jego własnych pomysłów. Skonfrontował je z amerykańską „czarodziejską katastrofą” i ocenił je wyżej, niż wszystkie uszczywistnione już cudy *The magical City* (tytuł albumu Scribnera). Jego „miasto promieniujące”, złożone z „karczańskich drapaczy nieba”, nie może powstać na fundamentach obecnego statutu socjalnego — wymaga ono doskonałego zrównoważenia maszyny społecznej i gospodarczej. Książka, którą omawiam, stanowi próbę nowego sformułowania zawiłych teorematów genialnego architekta; posługuje się w niej autor metodą „graficznego myślenia”, będącą dla czytelnika lopatologicznym uprzyświeceniem lektury. Rozdział ostatni (*Pożegnanie New Yorku*) składa się z cyklu drobnych szkiców, migawkowych a nieomylnych w ekspresji: tak wyglądają znaki szyfru uczuciowego, osobliwa steno-grafia natchnienia.



LE CORBUSIER

SZKIC Z OMAWIANEJ KSIĄŻKI

ROMAN KOŁONIECKI

<sup>1</sup> LE CORBUSIER: *Quand les cathédrales étaient blanches. Voyage au pays des timides. Avec 45 croquis dans le texte. Paris, Librairie Plon, 1937; p. 10 nn. + 326.*



WILAM HORZYCA

## HISTORIA NA ŻYWO

Kto pisze taką książkę, jak *Diogenes w kontuszu*, ten nie czyni tego dlatego, że mu historia w czymś nie dogadza, ale dlatego, że ze swą współczesnością (zarówno w czasowym jak i przestrzennym znaczeniu) ma na pieńku. To jest, zdaniem moim, klucz do zrozumienia tej „tajemniczej”, jak powiadają, nowej książki Berenta, a same wypowiedzi autora, dotyczące jego w tym względzie stanowiska, a jeszcze bardziej może styl narracji, samego nizanina, układania, szeregowania zdarzeń świadczy o tym, że tak właśnie jest niewątpliwie: historia, to jest dla „diogenesowskiego” Berenta mimo wszystko — przypowieść. Inaczej mówiąc: zrównanie, po którego drugiej stronie, niehistorycznej, jest nasza „obecność”, nasze dziś. Tylko, że zrównanie to odwrócono tu, jeśli się tak wyrazić, „do góry”: to, co jest na dole, jest na górze... powiedzieć by można słowami Tabulae Smaragdinae, parafrazując słów tych sens. Gdy najczęściej i najchętniej godzimy się na to, że historia gwałci współczesność, „obecność”, tu jest wręcz przeciwnie: o historii mówi się tak i tak się ją *czuje*, jak gdyby była naszą współczesnością. Tak wygląda nie tylko zasadnicze „stanowisko” Berenta, ale stanowisko to określa niejednokrotnie czasem nawet mało znaczne odruchy berentowskiego pióra. Ktoś, nieświadom rzeczy, mógłby pomyśleć, że to zwyczajne „aluzje”, gdy w rzeczywistości autor uderzył w klawisz w tak dziwny sposób, że usłyszeliśmy dwa tony: ten, który znamy z naszej codzienności, i ten, co brzmiał kiedyś, przed wiekami niemal, tym razem za stanisławowskich czasów. Dwa tony, — gdy się jednak wsłuchamy, poznajemy, że to jeden i ten sam; niestety, ten sam.

Ambicją Berenta, założeniem jego narracji o dawnych latach, jest odczuwać historię tak, jak gdyby była rodzącą się dopiero rzeczywistością. Śmiem twierdzić, że ta dążność kryje się nawet w tym świetnie zastosowanym przez Berenta „sposobie” literackim, który kazal pisarzowi podać nazwisko bohatera swej opowieści na niemal 200-iej stronie książki, a to tylko dlatego, abyśmy nie popatrzeli na niego poprzez schemat podręczników, historii czy literatury, a przestawiali z nim jak z człowiekiem żywym, a więc istotą *nieświadomą*, taką właśnie, z jakimi przestajemy żyjąc. Wiadomo przecież, że gdybyśmy czytali historię — powiedzmy — Napoleona, nie wiedząc, że mamy przed sobą dzieje „boga wojny”, inaczej i prawdziwiej sądziłibyśmy niejedno, co dziś osądzamy fałszywie, patrząc na to ze św. Heleny — wstecz. Takie właśnie spojrzenie wstecz, to przeciwieństwo spojrzenia Berenta, który wodziłby z pewnością, że prawdziwe patrzyenie historyczne, to patrzyenie *naprzód*, tak jak w naszym życiu, w jutro, w niewiadome, w „może tak, a może nie”. Kto oglądając dzieje, patrzy wstecz, temu się wszystko ślicznie, w piękny „historyczny” wzorek układa, ale ten widzi tylko ementarze dziejów, tylko ich zastępcze formy, ale nigdy żywe. Nigdy! Dlatego tak się wypiera autor *Diogenesa* ową „retrospektywną historię dzisiejszych”, a patrzeć chce „oczyma ludzi ówczesnych, bacząc przede wszystkim na ich słowa, wypowiadane wtedy na gorąco”. Dlatego wysuwa jako drogowskaz dla swej opowieści „*bios historii*”, nie zaś jej ementarniany *logos*, ukazując „żywe namiętności owych czasów i ludzi wtedy działających”. Ludzie historyczni muszą być dla Berenta tak żywi jak my, dziś żyjący, i dlatego właśnie po drugiej stronie zrównania znajdujemy — dziś dzisiejszy, obecność. W tym też rozumieniu historia jest u Berenta przypowieścią, przypowieścią jednak, która nie mitologizuje rzeczywistości, ale urzeczywistnia ją.

To stanowisko berentowskie, bardzo konsekwentnie i drobiazgowo przeprowadzone

przez całą książkę, sprawia, że tę opowieść o żołnierzu, myślicielu, publicyście, uczonym, wręcz księdzu, słowem o Franciszku Jezierskim, pierwszym piórze kolla-tajowej *Kuźnicy*, czytamy jak opowieść o kimś dobrze znajomym, tylko że sobie nazwiska przypomnieć nie możemy. Ale wszystko, co przetrwał, z czym walczył, co czuł — znamy, znamy doskonale... z własnego doświadczenia, z świadectw naszego własnego życia. Czytając tę książkę, mamy wraże-

nia dać głębszy komentarz do wypadków ostatnich lat przedzoborowych, a zarazem czyż można genialnie ukazać płytkość nawet naszych tragedii? Nie dziwnego, że zgrzytało zębami, czytając tego Bezimiennego. W Polsce zawsze było łatwo o zgrzytanie zębami, gdy ktoś miał odwagę powiedzieć prawdę. Tylko o co innego trudno było.

Wykorzystany przez przyjaciół, znienawidzony przez króla, na indeksie wszystkich

Bo, że niezwykle to był człowiek, ów kolla-tajowski anonim, zgorzienie króla Stasia, a usta i język czującej społeczności, o tym świadczy choćby tylko kilka zdań z tych, które z wiernością dziejopisa podaje w swej narracji Berent. Nie podobna oprzeć się pokusie posłuchania tego głosu. Słuchajmy więc!

„Popularność? Wziętość u ludzi?... W naszym narodzie zawisły one na wspólnym pijaństwie i obżarstwie... Zaczęła ujęciu publiczności materia, schlebająca jej gustom... Żeby utworzyć o sobie szczególną opinię, dosyć jest trochę szczęścia i trochę głupstwa, byle to było głupstwem  *powszechnym*” (podkreślenie nasze).

„Rozum — ma sobie u nas za honor wątpić o wszystkim i nie ufać nikomu... Najgorzej wychodzi na tem nadzieja, to dziecię miłości własnej, a dziedziczka przyszłości, w której jest wola po narodach”. (Ufności Zachodu dotąd się nie nauczyliśmy).

„Wspaniałość życia wielkiego pana — na tem rozumiem, gdy w palacu jego pokazują mi skarbiec starożytności polskich, gdy widać galerię obrazów, albo bibliotekę, lub gabinet historii naturalnej. Lecz w naszym narodzie wspaniałość życia Panów jest w wystawności swojej *okazalą Tatarszczyzną*”. (Tatarszczyzna naszego użycia przetrwała po dzień dzisiejszy).

„Końcem wszystkich rządów krajowych winien być człowiek i jego zaopatrzenie w prawa obywatelstwa. Ktoby nad ten najokazalszy obowiązek rządu wywyższał choćby samą obronność kraju, byłby takim prawodawcą, jak ktoś, co przepłaca futerał, nie bacząc na jego zawartość”. (Pytamy: kiedyż to napisano?).

„Można rzeczyć, że u nas używaniem wszystkiego i odmianą wszystkiego rządzi dziś moda — charakterowi przeciwna... Ale żaden naród nie może być bez charakteru, ani w odmianach ustawicznych zostawać bez niego”. (Zapowiedź słów o pawiu narodów i papudze).

„Popularność najdzielniejsza jest u nas w zadawaniu potwarzy. Jej sprawy, bez wiadomości o tem co czynią, a nawet brzydcząc się tyranią, popełniają jej okrucieństwa...” (Któż i dziś nie przysięgaży temu?).

„Ktoby chciał przystąpić w Polsce do reformy Żydów, musiałby wprzód zreformować sposób myślenia szlachty i chłopów”. (Tak pisał *ksiądz* Franciszek Jezierski!).

Takie i inne słowa wyrzucił, namiętne a pełne głębokiej mądrości, ów anonim ze zgrupowania o. Misjonarzy, namiętne i głębokie tak bardzo, że jeszcze dziś ośniewają nas swoją odwagą i siłą. Jeszcze dziś są one tak gorące, iż zdumiewać może, że Berent świadomie wybrał ten a nie inny styl dla swej opowieści, styl, w którym zdania układają się jak ciężkie zasłony z welutu, aby tym spokojem przytłumić wciąż niebezpieczny żar, jaki tleje w tych sylabach i zdaniach. Ale to złudzenie tylko! Kto wie, czy nawet Berentowi uda się przywrócić owego kolla-tajowskiego samotnika pamięci Polaków! Było by to czymś wbrew polskiej naturze.

Choć nie! Epilogiem niejako tej tragicznej opowieści o księdzu Jezierskim jest drugie opowiadanie nowego tomu berentowskiej prozy: „opowieść z zarania inteligencji krajowej”, jak brzmiał podtytuł tego drugiego rozdziału. I jak *Diogenes w kontuszu*, opowieść o napróżno szukającym człowieka w upadającej Rzeczypospolitej, pełny jest akcentów groźnych i prawdziwie dramatycznych, tak owe *Zabawy przyjemne i pożyteczne* przepojone są jakimś niesłychanie delikatnym i — powiedzieć by można — pięknie mądrym optymizmem. Prawie wierzyć się nie chce, że ci oficerowie Legionów Dąbrowskiego i gorliwi zbieracze różnych „wiadomości” pożytecznych i dlatego przyjemnych, bo nimi, także nimi, miano odbudować ojczyznę, — że to są przecież synowie tych, którzy anatemi rzucali na polskiego Savonarolę ginącej Polski. A jednak tak było. Syn owego drugiego Jezierskiego, posła nurskiego i hyperpatrioty, co znany w całej ówczesnej Warszawie dom publiczny utrzymywał — przyjął na siebie odkupienie winy ojców. A jeśli nie on, to jego pokolenie, aby... aby wypełniły się losy naznaczone przez Boga Dziejów. Ale, że ów Bóg Dziejów nie przez co innego a przez ludzkie serca i przez ludzkie ramiona *gesta* swoje dokonuje, przeto stało się, iż synowie ojców, którzy pogardzili słowem natchnionym, wymodlili sobie Mickiewicza. Bo Bóg Dziejów surowy jest i sprawiedliwy, choć sprawiedliwość ta jest nieraz — straszna.



Rys. E. GŁOWACKI

W. BERENT

nie, że dokonywa się w nas jakaś bolesna anamneza. Wszystko to przecież znamy, choć nie wiemy skąd i... choć opowieść mówi o czasach sprzed lat stu pięćdziesięciu.

Rozumiemy dobrze straszłą mękę samotności ks. Franciszka Jezierskiego, rozumiemy, czemu „próżno słowa wyrzucił namiętne”, rozumiemy, jak dręczący go musiało poczucie bezsilności w umierającej Rzeczypospolitej, której w jednym zdaniu wystawia genialnie ale bezlitośnie świadectwo: „Francja, stanowiąc rząd nowy, i Polska, poprawiając rząd stary, zastanawiają dziś oczy całego świata. Pierwsza odprawiła tragedię, druga przystąpiła do komedii”. Czyż podo-

możnych, konał więc powoli, ten „plomień w sutannie”, aż skonał cicho gdzieś na przedmieściu Warszawy. I szybko, nad zasługę szybko stracony został przez Polaków „w głuchą przepaść niepamięci”, dzieląc los tyłu, tyłu najlepszych tej ziemi. Aż po półtora wieku znalazł się ktoś, kto odgrzebał z popiołów to serce gorejące i ukazał je nam, skruszonym, żeśmy nie wiedzieli, iż ktoś w Polsce tak kiedyś myślał i tak cierpiał, a nie wiedzieliśmy! Zapomnienie, zapomnienie! Tym zawsze szafujemy szeroko. I nie tak często zjawia się u nas Berent, który ma chęć i moc ożywienia tego, co — choć znikome — ma żyć *prawo*.

## STANISŁAW PIĘTAK

## Z NÓW...

*Jak cicho mój cień z szelestem drzew się płął. Naprzeciw twego domu zatrzymałem się na kształt urwanego w trwodze tonu. Nad siną szosą białe konie szły i drzewa, wiatr świerzcze unosił ty, błędziła wysoka noc, o przemijaniu płynął jak srebrne szkło dziewczęcy, senny głos.*

*Władala mną nie od dzisiaj trwoga, płacząc się od pnia do pnia, bieglem, stanąłem przy jasných drzewach. Ręce moje jak szarfy opadły ku ziemi bokiem, nie wszedłem, błądą twarzą przypadłem do ciemnych okien. Daleko bił wrzask gwarzących, śmiejących się chłopów, a tu tak blisko stałaś ty, nad tobą smugi kwiatów wokół. Ujrzałem znowu twoje ręce, skłon żalobny bark, unosząc wzrok, tzy poczułem w zwarciu zeschnym warg.*

*Szeptąłem twoje imię, a wówczas owe oczy duże jako we śnie zagubione w mgłę latarnie rozbliły u twych powiek tak promiennie i nagle. O rząsy, rząsy najcichsze, srebrnoglawe, nad nami przystanął oblok, płynęły różowe korale.*

*Znów twoje dłonie zdały mi się droższe ponad wszelką pieśń, nad sławę.*

STANISŁAW PIĘTAK

WILAM HORZYCA

## BIBLIOTEKA DRAMATYCZNA

## „DROGI”

- |     |       |  |
|-----|-------|--|
| Tom | I.    | G. B. Shaw: Mąż przeznaczenia                    |
| ..  | II.   | F. T. Marinetti: Jeńcy                           |
| ..  | III.  | Jean Cocteau: Orfeusz                            |
| ..  | IV.   | Każdy (Everman)                                  |
| ..  | V.    | André Gide: Edyp                                 |
| ..  | VI.   | Cypryan Norwid: Miłość czysta u kąpieli morekich |
| ..  | VII.  | Eugene O'Neill: Księżyc nad Karybami             |
| ..  | VIII. | DIALOG o grzeszniku i lasce Bożej                |
| ..  | IX.   | Lord Dunsany: Noc w oberży                       |
| ..  | X.    | C. F. Ramuz: Historia o żołnierzu                |
| ..  | XI.   | Paul Claudel: Młodość Violeny                    |
| ..  | XII.  | André Gide: Persefona                            |



ZOFIA KRZEMICKA

## GENEZA PAŃSTWA POLSKIEGO

W OŚWIETLENIU NAJNOWSZEJ HISTORIOGRAFII NIEMIECKIEJ

Początek państwowości polskiej tonie w mrokach dziejowych, zlekka tylko rozświetlonych przez skąpe smugi drogowskazów poszczególnych wzmianek kronikarskich — operujących niejasną nomenklaturą, niestabilnymi pojęciami. Na podstawie tych mało mówiących zapisków dążyła historiografia w rozmaity sposób, posługując się różnymi metodami, do odtworzenia tego faktu dziejowego i towarzyszących mu okoliczności. Rezultaty badań w tym kierunku przeważnie pozostały w sferze hipotez, mniej lub więcej prawdopodobnych, pomimo znacznego rozszerzenia kręgu metod badania. Problem ten, który nigdy nie schodził całkowicie z kart międzynarodowej historiografii, nabrał specjalnej mocy i wagi w dobie najnowszej. Uświadomić sobie należy nie tylko jego renesans z punktu widzenia czysto teoretycznego naukowego poznania — ale jego żywotność i aktualność.

Geneza państwa polskiego wysunęła się na czoło sporu naukowego pomiędzy historykami niemieckimi i polskimi. W kampanii tej polary się strugi atramentu i farby drukarskiej — ofiarą padły tysiące arkuszy papieru. Stały się naprzeciw siebie dwa obozy, z których każdy wykazał się może poważnym dorobkiem naukowym, nazwiskami badaczy — o sławie przekraczającej lokalny zasięg państwowy. W ogniu dyskusji znalazły się zasadniczo dwa poglądy. Jeden wyprowadza początki państwa polskiego z podboju zewnętrznego, dokonanego przez nordyckich wikingów — dynastię Piastów w połowie X w., których reprezentantem jest Mieszko I. Pogląd ten, forsowany przez naukę niemiecką, wszedł nawet do tamtejszych podręczników szkolnych. Przedstawia się on w formułce naukowej: „nagle i bez etnograficznego podłoża nowe państwo zostało przez pięć zdobywców powołane do życia” — i szerzej wyprowadzony brzmi: „w słowiańskich szczechach, które później utworzyły państwo polskie, dokonało się zjednoczenie niedługo po połowie X w. rękoma silnego władcy, który przy pomocy wojskowej drużyny wiele małych ludów w dolinach Wisły i Warty przemocą połączył i w jedność przepoził. Można przyjąć, że ten twórca państwa był Normanem-Dagone” — co dało asumpt do przyjęcia, jako pewnika, przekonania o normanckim pochodzeniu Piastów. — Przeciwstawia się tym teoriom pogląd drugi (teza polskiej historiografii) — przyjmujemy za wiążące się państwowości polskiej w drodze ewolucji wewnętrznej skrytalizowania się w państwowość mas etnicznych słowiańskich, bez zewnętrznego naporu, własnymi siłami społeczeństwa i wyłonionej zeń rodzimej dynastii Piastów — antenatów historycznego już władcy Mieszka — o drugim imieniu Dagone.

Walka toczy się na papierze — poparta rozmaitymi argumentami pro i contra, zaczerpniętymi z analizy, krytyki i zestawienia identycznych przekazów źródłowych. Główną zaś pożywką obu stron jest to samo źródło, rozmaicie interpretowane: dokument „Dagone index”, w którym władca krajów polskich w w. X. oddaje ziemie swe bliżej określone geograficznie i rodzinę swą w opiekę papieżowi. Obie strony na ogół zgodnie dopatrują się w owym Dagone osoby Mieszka I.

W tezie niemieckiej odgrywa rolę analogia do Rurykowiczów, Normanów-wikingów — twórców państwa ruskiego; historiografia polska posługuje się nawiązaniem do tradycji państw słowiańskich — wielkomorawskiego i czeskiego — powstałych pod rodzimymi dynastiami, obalając w ten sposób ar-



OTTON III PRZYJMUJE HOLD CZTERECH NACJI (WIZERUNEK Z W. XI).

gument niemiecki o typowej niezdolności Słowian owej epoki do uformowania organizacji państwowej.

Tezę swoją stara się historiografia niemiecka podmurować, wskazując dalej na cechy nowopowstałego państwa (silna władza monarcha, centralizacja zarządu państwa, drużyna, jako organizacja wojskowa) — typowe dla struktury normanckiej, a odbiegające od tradycji słowiańskiej. Nauka polska przeciwstawia temu rozmaite elementy tradycji rodowej — przechowane nawet w urzędzeniach prawno-państwowych późniejszego państwa polskiego.

Trudno w ramach krótkiego sprawozdania ująć całokształt rzeczowej argumentacji obu stron, trzeba się zadowolić dorywczyimi tylko fragmentami. Teorię o wpływach normanckich, upersonifikowanych, wedle wywodów niemieckich, przez Sygrydę-Storradę, córkę Mieszka I poślubioną Erykowi Szwedzkiemu, a potem Swenowi duńskiemu, obala, obok zakwestionowania identyczności oso-

by — przede wszystkim imię córki owej Sygrydy — brzmienie Świętosława — świadczące raczej o sile słowiańskich tradycji. Także wysuwana jest ze strony polskiej ważka supozycja o dotrwanii onego dokumentu „Dagone” w ułamkowym tylko brzmieniu po zatrąceniu przez licznych kopistów drugiego imienia władcy — Misescone. Podnoszone również brak zarówno w źródłach, jak i w tradycji polskiej wzmianki o jakiejś wersji najazdu. A wreszcie na korzyść rodzimego pochodzenia dynastii Piastów przemawia datująca się z XII w. zachowana w kronice Anonima (t. zw. Galla) relacja o przedkach mieszczkowskich o nazwiskach i tradycjach słowiańskich, których metody rządzenia nie różnią się od epoki Mieszka I i t. p.

Zdawało by, że sam rozwój dziejowy uosunkował się negatywnie do tezy niemieckiej. Państwo owo „zorganizowane przez pięć zdobywców” załamało się już w XI w. po katastrofie Mieszka II. Nauka niemiecka załatwiła się z tym faktem w ten sposób, że

przerzuciła winę na społeczeństwo — nie dojrzałe jeszcze do aktu państwowo-twórczego. Miało ono dojrzeć dopiero pod wpływem ożywczo go zastrzyku tężny nordyckiej w postaci kolonizacji niemieckiej, zainicjowanej przez owych Piastów — władców nordyckiego pochodzenia. Z kolonizacją łączy historiografia niemiecka regenerację polskiego społeczeństwa w w. XIII i XIV.

Z argumentem tym rozprawiała się nauka polska wykazując, że wpływ niemieckiego elementu kolonizacyjnego był w domenie gospodarczo-kulturalnej znacznie mniejszy. Dla naświetlenia aktualno-politycznego nastawienia historiografii III Rzeszy nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że w kampanii tej usunięto niejako w cień dotychczasowy główny problem sporny, połączony bezpośrednio z początkami państwa polskiego — pielgrzymkę Ottona III do Gniezna w r. 1000 i utworzenie niezawisłej metropolii gnieźnieńskiej. Stało się to z powodu negatywnego uosunkowania się III Rzeszy do osoby i poczyną Ottona III, cesarza-kosmopolity, „który zatracił typową nordycką tężność, pod wpływem domieszki krwi greckiej po matce i zaprzepścił interesy państwa niemieckiego. „Nie był rzecznikiem prymatu Germanów, zeszedł do roli orędownika Słowian, wyznaczając w swej wielkiej światowej koncepcji cesarstwa rzymskiego pierwsze miejsce Rzymowi, następnie Galii, a trzecie dopiero Germanii — a za nią bezpośrednio umieszczając równorzędną Słowianę” — jak to uchwyciła współczesna ilustracja. Ta negacja Ottona — ujęcie go jako szkodnika z punktu widzenia interesów niemieckich, przeszła do podręczników szkolnych III Rzeszy, a jednym z jego „prezestępstw” jest założenie metropolii gnieźnieńskiej i wyzwolenie kościoła polskiego spod kościelnego suprematu Niemiec. Poważni naukowcy, ze starą szkołą niemieckiej, nie mogli się oswoić z dyskwalifikacją wielkiego europejskiego i jego planów politycznych — podejmowali nieśmiało i bezskuteczne próby rehabilitacji dla wprowadzenia Ottona III w krąg uznanych wielkości III Rzeszy — wykazaniem znaczenia planu odnowy cesarstwa rzymskiego dla rozwoju cesarstwa niemieckiego.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach rekoncesans historiografii niemieckiej w dziedzinie początków państwa polskiego — wykonany ze znaną niemiecką precyzją i starannością, przejawiającą się nawet niekiedy w opanowaniu języka polskiego.

Ciekawie się składa, że pogląd o sformowaniu państwowości polskiej zdobył sobie prawo obywatelstwa w nauce niemieckiej właśnie w epoce, gdy poważnymi argumentami historiografia ukraińska i sowiecka godzą w główny filar owej tezy — podważając przyjętą już tradycyjnie koncepcję Nestorowego Ruryka — normanckiego zdobywcy-wikinga, twórcy państwa ruskiego.

Dziwnym kołem toczy się historia — difficile est satiram non scribere.

MIECZYŚLAW LISIEWICZ

## ZWIERZĘTA

Gdzie źródło nieznaną polany cienkim strumieniem wytryska  
w dwa korzenie ujął stary dąb  
chłodną krawędź szutrowiska

w nim wilgotne cienie i ziąb.

Leszczyna w piórach paproci, ciasno okolem się wleczę  
a za nią: brzozowa głąb

mchy i ostromlecze...

A w niej: sarny, rudel płomienny stopił się z jeżynami,  
oczu półkule sennie mdleją cisza,

a ciszę las powojem owija o kamień...

Serca bija: zaszumiał krzak, gałęzie i liście drgnęły,  
zaćwierkał ptak — odpowiedział mu ptak...  
gałęzie i liście usnęły...

Sarny patrzą: zając, strzępaty wyrósł na trawie polany trzcina,  
za nim żagwią kity lis trawy zapalił.  
Potem... zając biało błysnął. Lis się rozplynął...  
Trzasnęły krzaki. Sarny spłoszone sadzą wpoprzek skokami,  
piers w pierś, na długich łukach powietrza, bez tchu...

Długo tęskniło źródło za zwierzętami,  
tylko dwie wałki, czarna i złota, złączone razem pytały:  
Czy to tu?... O, to nie tu...  
I odleciały.

MIECZYŚLAW LISIEWICZ

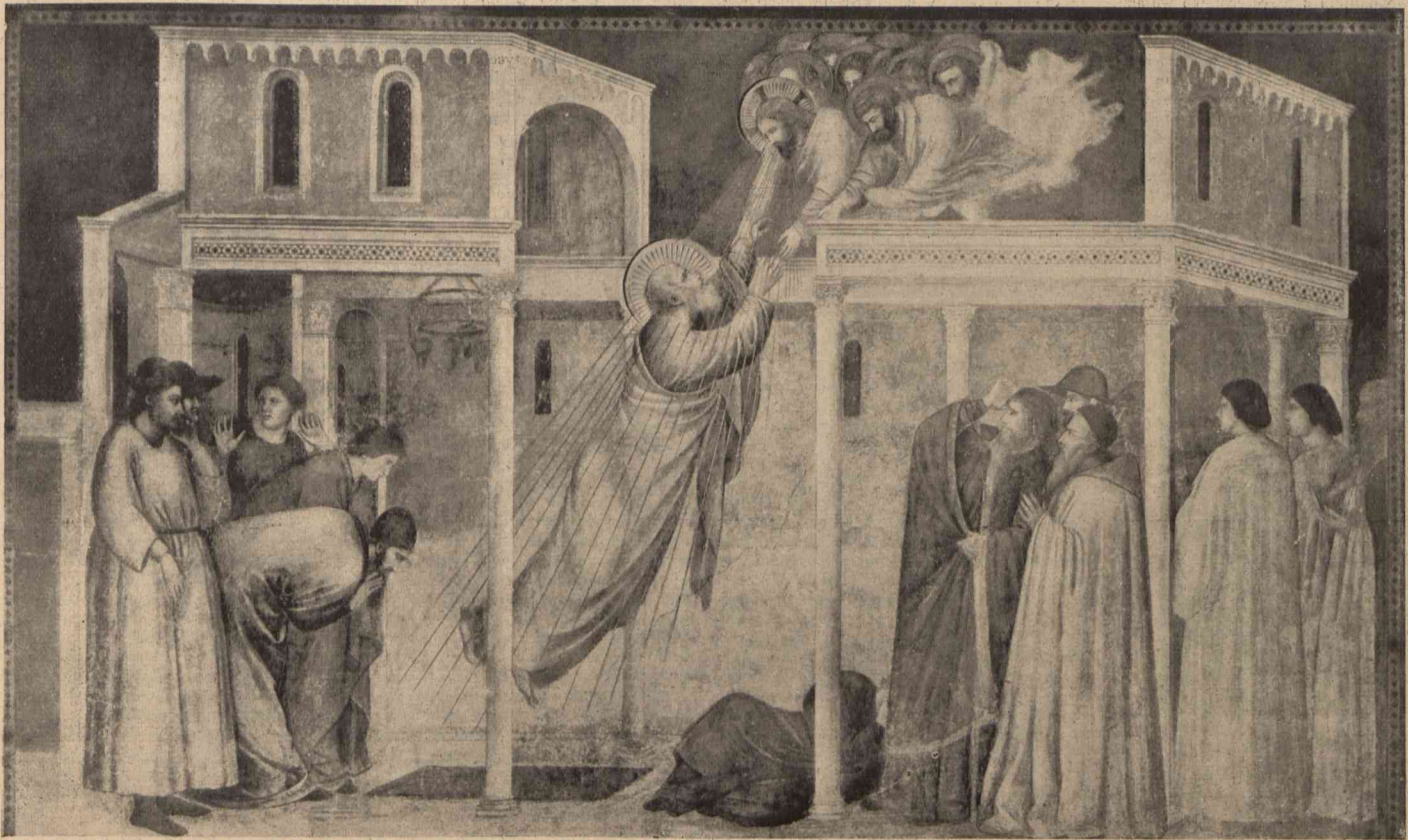
**Dozbroić!**  
**Polskę na morzu!**

**FORVIL** PARIS **ULUBIONY PUDER PANI**



MIECZYŚLAW STERLING

## SZEŚĆSETLECIE GIOTTO



GIOTTO

JAN EWANGELISTA WZNOŚI SIĘ KU NIEBU

Na nowo, po tylu latach rozłąki, zanurzamy oczy i myśl w jego dzieła. Już nie tylko dla samego zachwytu i nie tylko dla samego poznania: chciało by się odczytać w nim naukę. Hamując w sobie uniesienia, pragnęło by się poznać prawdę jego wielkości.

Wśród zupełnego zaniku inwencji, w dobie panowania schematów bizantyjskich, w chwili, kiedy wszelkie przejawy psychiki ludzkiej miały dla swojego wyrazu gotowe już znaki umowne, nadszedł człowiek bardzo prosty, wieśniak, i olbrzymią siłą swojej bezpośredniej uczuciowości i swojej prostej miłości do ziemi wprowadził do sztuki człowieka — istotę żywą, czującą, bliską.

Musiąco w tym jego akcie tkwić coś bardzo przemożnego, skoro od sześciu setek lat ludzie powtarzają imię jego, jako imię twórcy europejskiego malarstwa, to znaczy tego, kto stał się pomostem między zamierającym światem rutyny i schematu, a odżywcą epoką Odrodzenia.

Czyż nie na nim winniśmy uczyć się wielkości?

Postaramy się zrozumieć, jakie były części integralne jego dzieł, co świadczyło o ich sile, nowatorstwie, co zrobiło go odnowicielem, czy twórcą malarstwa europejskiego. Zobaczymy, czy analiza jego wielkości może dać nam wskazania na dzień dzisiejszy.

Spróbujemy przeprowadzić porównanie. Na plafonie Baptysterium we Florencji znajduje się — między innymi scenami — również akt nadania imienia św. Janowi. Tytuł sceny tej brzmi: „Zachariasz zapisuje imię Jana”. Na skrawku mozaiki widzimy Zachariasza — typowego starca z mozaik tej epoki, o długich włosach, długiej brodzie, stylizowanej linijnie, w szacie ułożonej w bardzo wiele schematycznych fałd. Trzyma on w dłoniach długi zwój papieru, na którym zapisuje imię.

W kościele S-ta Croce w teście Florencji namalowane są freski Giotta, opowiadające życie św. Jana. Fresk podzielony jest jakby na dwie sceny. Po prawej ręce w świetlicy o dwu wysoko umieszczonych oknach stoi łóżko; leży na nim młoda kobieta, przykryta do połowy koldrą, głowę uniesioną wspiera na dloni, dwie kobiety stoją obok łóżka, na podłodze widać dzban... To „Narodziny św. Jana”. Ściana oddziela tu świetlicę od przy-

ległego pokoju, typowego wnętrza z czerną tego wieku, ze ścianą o dwu niszach, w które wstawione są dzbany. Przez drzwi weszła do pokoju gromada ludzi, trzy kobiety i dwu mężczyzn. Kobiety ubrane są w stroje wiejskie, z chustkami narzuconymi na głowy, pierwsza z nich pochyła się do siedzącego Zachariasza i pokazuje mu nagie dzieciątko. Zachariasz siedzi na stołku, plecami oparty o ścianę, złożył nogę na nogę, by wygodniej trzymać na kolanach tabliczkę, na której zapisuje imię nowonarodzonego. Jest to ta sama scena, jaką widzieliśmy na mozaikach.

Jaki jest wniosek z tego porównania? To, co w Baptysterium było schematem, skrótem umownym, niemal abstrakcją, tutaj ma już żywą krew, stało się aktem narodzin człowieka. Sztuka, ginąca z braku powietrza, ruchu, przestrzeżona, w której prawda rzeczywistości została zamieniona na prawdę znaków umownych, symbolikę martwych formuł, została wpojona w atmosferę życia, wszystkimi nerwami związana z otaczającym ją realnym światem — z rośliną, z ptakiem, skalą, z domem i jego codziennością, z miastem, ulicą, z bramą miejską. Został zrozumiany człowiek w jego dniu pracy i święta, narodzin i śmierci, najwyższej radości i największego bólu. Swoją prostą miłością do codzienności i do człowieka przepoił opowieści biblijne, które do jego dni zdołały już stężeć w martwe kanony i schematy.

I to właśnie stało się rezurekcją sztuki europejskiej.

Jakże rezultat naszego porównania może stać się dla nas drogowskazem, jak możemy nawiązać do teraźniejszości?

Tematem twórczości Giotta były opowieści z życia Chrystusa, Matki Boskiej, św. Jana i św. Franciszka, to znaczy, że temat dzieł jego był najściślej związany z wiarą epoki, z jej najpopularniejszymi opowieściami, że dziełem swoim głosił najprostszą treść najbardziej skomplikowanej, wewnętrznej prawdy swojego czasu: był spoidłem między wiarą epoki, a jej wyznawcą. Jego dążeniem artysty i człowieka było wpojenie scen tych w najbliższą mu ówczesną rzeczywistość. Był synem wsi tokańskiej, pochodził z małej wioski Vespignano, położonej niedaleko Florencji. Pozostawił tam ojca i

rodzeństwo, powracał do nich często. Znal lud Toskanii i jego obyczaj — ten lud swój i jego codzienność podniósł, bez niczyich wskazań, na stopień rzeczy najważniejszej, jedynie godnej sztuki: opowieściom biblijnym nadał koloryt spraw swoich dni. Uczuciowość jego, męska i patetyczna, obdarzyła wszystkie sceny wyrazem siły i napięcia, akcji i jedności w opowiadaniu tej akcji.

Odnależliśmy więc trzy podstawowe pierwiastki — temat, narzucony przez ogólną ideę, osobiste uczuciowe ustosunkowanie się artysty do tematu i nowe ujęcie rzeczy, osobisty sposób kształtowania formy i układu kompozycji.

Z połączenia tych trzech elementów, które składają się na właściwą osobowość artystów, może powstać istotne dzieło sztuki.

Taki jest rezultat krótkiej analizy i tymi postulatami należało by mierzyć współczesną sztukę.

Niestety — współczesnej twórczości plastycznej brak jest przede wszystkim źródła natchnień, brak jest takich prądów życia, które by siłą wiary narzuciły jej swoją tematykę. Brak jest również człowieka, który by siłą własnego geniuszu narzucił dążenie do innego kształtowania formy i kompozycji tych tematów, wreszcie — brak jest uczuciowego stosunku do rzeczy przedstawianych. Nie ma w niej dostatecznej żarliwości twórczej, potrzeby wehlonięcia w siebie współczesności i przetworzenia jej na swój sposób, nie ma okrzyku radości, bólu czy oburzenia: malarstwo trwa, ale nie porusza, nie łączy się niepoznawalnymi niemi odczuć z masą ludzi często nawet najbliższych.

Inny był stosunek do życia ostatniej plejady twórców wielkiego malarstwa, impresjonistów. Impresjoniści zdobywali nie tylko nowe formy kształtowania tematów, ale sami odkrywali swoje nowe tematy, tematywością swoją przeciwstawiali się nastawieniu psychicznemu patetycznej epoki romantyków. Zola był ich przyjacielem i obrońcą, bronili Maneta, a Salon *des Refusés* wzburzył cesarską parę francuską nie formą malarską Maneta, ale „bezcelnością” tematu. I Baudelaire oburzał nie formą, ale tematami lub ich ujęciem. Camille Pissarro był nienawidzony za treść swoich obrazów — nie chciano mu wybaczyć robotnic w czerw-

nych fartuchach z motyką w ręce, pracujących w polu.

Oczywiście — nie umiano również patrzeć na ich kształtowanie formy kolorem, to jest rzecz wiadoma. Ale Manet i impresjoniści zaatakowali publiczność z dwu flanków — formy i treści, lub raczej ujęcia treści. I więcej — ich nieustępliwy upór w poszukiwaniu słońca był również zaangażowaniem się uczuciowym. Kto czyta listy czy pisma Van Gogha, czy nie czuje, że ten człowiek kocha i cierpi poprzez kolory? Czyż nie mówi tego w sposób najprostszy?

Artyści dzisiejsi nie zadają sobie trudu, aby dostrzec, co w ich sztuce jest przeszłością, a co może stanowić teraźniejszość, czy przyszłość. Próby futurystów, ekspresjonistów, abstrakcjonistów wyprowadzenia formy z dominujących cech charakterystycznych epoki — z dynamizmu, mechanizacji czy konstruktoryzmu, chociaż nie sięgały do podstaw prawdy współczesnej, wydały efekty kierunkowe. Były próbami wyciągnięcia konsekwencji plastycznych z przesłanek ogólnego życia. Realizm socjalny Sowieców stał się najbliższą zasadniczą ideą. Nie wypelnili jej jednak, bo nie uwzględnił tego, co u Giotta narastało w sposób naturalny — współczesności nowej formy z nową treścią.

Sztuka polska współczesna nie zrobiła w tym kierunku odpowiedniego wysiłku. Każde niemal nowe pokolenie wprowadza pewną ideologię formalną, której źródłem są kierunki wyrosłe gdzieindziej. Wnosząc odżywcze pierwiastki do twórczości polskiej, niedostatecznie wnikają w intelektualne, tematowe, duchowe, uczuciowe podłoże epok, w których powstały przejmowane przez nich formy. Zarzut ten dotyczy zarówno tych, którzy budują na dawnych tradycjach, jak i tych, którzy nawiązują do tradycji najnowszych.

Święto sześćsetcia ich wielkiego kolegi, Giotta, powinno nasunąć plastynom myśl, że po to, aby stworzyć wielką sztukę, należy podpatrzyć i zanalizować pobudki i motywy społeczne, uczuciowe, formalne, z których wyrosła sztuka wielka i na zasadzie syntezy z otaczającej ich rzeczywistości wyprowadzić wielką sztukę ich dni.

MIECZYŚLAW STERLING



KAZIMIERZ SOWIŃSKI

## PRZEZ ZIEMIE I SPRAWY POLSKIE

*Podróż po Polsce* Pruszyńskiego<sup>1</sup> nie jest sprawozdaniem z turystycznego waju. Chociaż autor przetrzuca się z Poznania do jakiejś mikroskopijnej miściny na Wolińniu, znad sennych wód pińskich do osiedla Montwilli-Mireckiego, które miało się stać eldorado łódzkiego proletariatu — wiedzie go nie ciekawość, aby poznać różnorodne pejzaże, ale chęć dotarcia do tych podskórnych nurtów, które na powierzchni rozpluwają się w prąd, kształtując oblicze naszej współczesności. Książki tej nie można określić mianem zwykłego reportażu. Pruszyński nie zostawia czytelnikowi tej swobody, do jakiej przywykł w reportażach, gdzie autor przez systematyczny wybór i celowy u-



KSAWERY PRUSZYŃSKI

kład spostrzeżeń naprowadza co najwyżej na wynikające z nich wnioski ogólniejsze. Choć mowa tu o zajęciach lwowskich, i o sprawie przytyckiej, i o budowie zapory wodnej w Porąbce — nie na faktach tylko skupia się uwaga autora. Temperament publicystyczny wiedzie go dalej. Materiał rzeczowy, zebrany sumiennie i rozważnie przemysłany, osądza obiektywnie, uwzględniając nierzadko tło historyczne zjawisk, które ukazują się nam w ten sposób jako ognia pewnego procesu rozwojowego. Wydarzenia służą mu tylko za punkt wyjścia do rozwinięcia problemów, które się w nich zamawiają, dla zanalizowania tych trudno czasami dostrzegalnych napięć dynamicznych, które się w nich ogniskują, tych gromadzących latami sił, które ekspodują od czasu do czasu na pozór bez przyczyny. Tak, jest to podróż po Polsce, tylko pojętej nie w sensie geograficznym, ale rozumianej jako spłót zjawisk, które określamy mianem współczesnej rzeczywistości polskiej. Uporczywe przedzieranie się poprzez trudną problematykę naszej teraźniejszości. Naczelne zagadnienia, zaprzatające polską publicystykę, zostały tu ukazane w całej różnorodności kształtnej zawilosci i nasświetlone we wszystkich swych aspektach.

Dzień 15 sierpnia, dzień święta ludowego, kiedy olbrzymia masa zebranych w Rzeszowie chłopów zademonstrowała swą wolę objęcia władzy, daje autorowi okazję do rozwinięcia sprawy wsi, która zresztą w rozlicznych wariacjach pojawiać się będzie na kartach poświęconych innym zagadnieniom: czy to jako kwestia przeludnienia agrarnego, czy to jako problem udoskonalenia gospodarki rolnej na Wolińniu, czy wreszcie jako kwestia ściśle ekonomiczna w związku ze sprawą przytycką. Walka chłopów o dostęp do władzy jest walką o demokratyzację, jaką społeczeństwa zachodnio-europejskie przeżyły w wieku XIX. Pocucie siły wzrosło w ostatnich czasach wśród mas chłopskich wraz ze wzrostem zrozumienia dla spraw gospodarczych i politycznych. Szkolnictwo powszechne i parlamentaryzm przyczyniły się do wzrostu świadomości społecznej i politycznej. W „ostatnim kraju rolniczym Europy” zaczyna narodzić się kształtować się społeczeństwo chłopskie. Proces demokratyzacji, który w b. zaborze pruskim rozwijał się powoli i w pełnym związku z Zachodem, poprzez naturalną wymianę ludności między wsią i miastem doprowadził do zupełnej odrębności gospodarczej Poznańskiego. W ślad za reformami ekonomicznymi szedł rozwój nowoczesnych form gospodarki i przemysłu rolniczego, co z kolei kształtowało cały ustrój tamtejszego życia społecznego, jego organizację, sposób myślenia. Tu nastąpiła prawdziwa polska rewolucja klasowa. Tu powstało mieszczaństwo, które wywodzi się nie ze zrujnowanej

szlachty ale z chłopstwa. Przemiany społeczne tego typu, w całej reszcie Polski rozpoczęte niedawno, odbywają się gwałtownymi skokami wskutek przeludnienia wsi i w dalszych konsekwencjach doprowadzają do ruchów, które z płaszczyzny społecznej przetrzucają się na narodowościową. Gdyby ten proces odbył się w Kongresówce stopniowo, nie było by zajęć w Przytyku.

W związku z procesem przytyckim daje Pruszyński szeroki przekrój kwestii żydowskiej, nasświetlając specjalnie jej moment podstawowy: ekonomiczny. Zostawiając na uboczu wynik sądowy tej sprawy, ukazuje ją w łożysku przemian społeczno-ekonomicznych, jakim podlega dzisiejsza wieś polska. Przed trybunałem radomskim przesnął się proletariatu wsi polskiej, który drogą naturalnego parcia dąży do miasta, i żydowski proletariatu miasteczka, który ze swej pozycji ustąpić nie chce. Nie jest to przypadek, że największy proces o zaburzenia antysemityczne jest procesem wsi, w której przeważa element małorolny i bezrolny. Ruchowi, którego epilogiem był proces radomski, przeciwstawić się może siła kulturalna, a przede wszystkim uregulowanie sprawy agrarnej. Bo tam, gdzie rozwijający się przemysł wchłania nadmiar ludności wiejskiej i gdzie Żyd jest bardziej związany z ziemią — antysemityzmu nie ma, jak to widać na przykładzie Mikaszewic. Chociaż olbrzymią większość inteligencji polskiej i kupiectwa stanowią Żydzi, nigdzie nie mogą oni czuć się tak pewnie, jak w spokojnej Pińszczyźnie. Tu masa żydowska silnie przylgnęła do ziemi. Tu — nie tylko w Palestynie — spotkać możemy żydowskiego rolnika i robotnika. I, co nabiera specjalnej wymowy, hasło po-

wrotu do Erec Izrael nigdzie nie jest tak silne, jak właśnie wśród Żydów polskich. Człowiek, który pierwszy rzucił to hasło, nazywał się Pińskier.

Sprawa wsi i antysemityzm to dwa naczelne problemy społeczne dzisiejszej publicystyki polskiej. Wiążące się z nimi zagadnienie młodzieży wprowadza nas na teren ściśle polityczny.

Rozważania, dotyczące charakteru polskiego katolicyzmu, należą do najciekawszych kart *Podróży po Polsce*. Czy dynamizowanie tej do dziś jeszcze statycznej religii dolów społecznych pójdzie drogą wypracowania jakiegoś katolickiego ustroju gospodarczego — wydaje się wątpliwe. Można co najwyżej dążyć do tego, aby wszystkie formy życia społecznego stały się bliższe pojęciom chrześcijańskim. Na razie zaobserwować możemy, że nawet zaniedbanych form religijności jest jednym z czynników prądu nacjonalistycznego.

Wzrost nacjonalizmu obrazuje autor na przykładzie Łodzi. Ulica Łodzi, ta jedyna dzisiaj domena bezrobotnych, jest zdecydowanie endecka. Proletariat pracujący skupiony jest w szeregach socjalizmu. Polityka partii robotniczych zmierza przede wszystkim do obrony i zachowania dotychczasowych zdobyczy. Umocniając pozycję proletariatu pracującego, pogłębia rów, jakie oddziela go od bezrobotnych. Nie zapominajmy bowiem, że bezrobotni przerażają się dzisiaj w odrębną klasę społeczną. I dlatego w Łodzi obserwujemy to paradoksalne zjawisko, że ruch nacjonalistyczny przelewa się na drugą stronę barykady. Wzrost zatrudnienia wzmógłby wpływ marksizmu. Wnikliwa analiza struktury społecznej Łodzi dowodzi niezwyklej spoprężawości

autora oraz umiejętności wiązania obserwacji w ciekawe uogólnienia. Jest to jeden z najlepszych rozdziałów książki.

Zaznaczone tu zagadnienia nie wyczerpują bynajmniej treści *Podróży po Polsce*. Rzeczwiśtość polska 1936-go roku ukazana została w obrazie o rozległej skali barw i precyzyjnie wycieniowanym rysunku. W zasięgu widzenia autora znalazł się nie tylko zamożny chłop z Poznańskiego, ale i pastuch spod Dermania, który na szerokich rozłogach Wolińnia potrafi wolać na krowy po francusku, ale na ojcowym zagonie gospodaruje metodą najprymitywniejszą, jakby na uragowisko tej bezużytecznej nauce wyniesionej ze szkoły; znalazł się bojowy działacz z endeckiego aktywu w Łodzi i Białorus-analfabeta, ciulający zarobione w Różnowie grosze. Talent pisarski autora *Palestyny po raz trzeci*, osiągnięty przez wspaniałym opisie budowy zapory wodnej w Porąbce, pozwala mu kreślić obrazy o niezwyklej świeżości i bezpośredniości, nie obciążone literackim konwenansem. Nareszcie pokazano nam Łódź bez lasu kominów i syren fabrycznych — Łódź od wnętrza, tak trudnego do przeniknięcia dla przygodnego turysty. Temperament publicystyczny Pruszyńskiego oraz żywoty i plastyka jego stylu składają się na to, że rozważanie problemów nie przeciąża tej książki, ale stanowi jej integralny element. Mnogość wnikliwych spostrzeżeń, bacna uwaga, z jaką obserwuje zjawiska życia społecznego, szeroka rozpiętość problematyki czynią z *Podróży po Polsce* dokument, obrazujący zalamanie się najważniejszych zagadnień społecznych, politycznych i narodowościowych we współczesności polskiej.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

KAZIMIERZ BUKOWSKI

## PEREGRYNACJE POLSKIE P. CAZIN

Nowa książka Pawła Cazina p. t. *Paul qui roule*, którą autor przysłał mi niedawno z Paryża, obudziła we mnie miłe wspomnienie sprzed kilku lat. Pewnego wieczora w r. 1932 zjawił się w moim mieszkaniu egzotyyczny gość: był to Paweł Cazin, który przyjechał ze swojego rodzinnego Autun do Polski, ażeby uzyskać w uniwersytecie lwowskim doktorat filozofii. Od pierwszych wymienionych z nim słów zrobił na mnie sympatyczne wrażenie. Żywy i ruchliwy, wesoły i swobodny jak każdy Francuz, oświadczył, że przyszedł odwiedzić mnie i podziękować za książkę o Reynoncie, którą mu wysłałem do Francji. Wywiązała się potem dłuższa rozmowa.

Ale w prawdziwe zdumienie wprawiła mnie jego znajomość języka polskiego. Mówił po polsku z lekkim akcentem cudzoziemskim, ale gładko, wprawnie, z łatwością wymawiając najtrudniejsze dla Francuza polskie wyrazy.

Spotykałem się potem często z Cazinem w czasie jego pobytu we Lwowie, gdy zjawiał się niespodziewanie w towarzystwie swego młodego przyjaciela, poety Włodzimierza Lewika, na premierze w teatrze, na odczytanie lub w cukierni Zalewskiego. W rozmowach z nami lubił używać mocnych wyrażań, z pasją ciskał różne „cholery” i „psiakrew”, które w ustach jego miały charakter dziwnie niewinny i frywolny, próbował nawet gwary lyżakowskiej. Potem zniknął na dłuższy czas z widowni, aby zgrzebać się w pracy lub pojechać na zwiedzanie Krakowa, frederickich Rudek lub królewskiej Żółki. Trzeba go było wtedy szukać w jego samotnym pokoju, w którym umieściła go gościnie hr. Skarbkowa. Siedział tam w nieodstępny aksamitnym berecie na głowie, przy starym biurku hrabiego Fredry, pochylony nad plikiem papierów i olbrzymim stosem książek. Otoczony dymem „caporala” pracował nad doktorską dysertacją, a w wolnych chwilach tłumaczył wiersze Wittlina i Lewika.

Wszystkie te wspomnienia odżyły we mnie, gdy czytałem jego książkę *Paul qui roule*<sup>1</sup>. Przypomniał mi się Cazin, jakim go znałem z jego czasów lwowskich: żartobliwy i wesoły, swobodny i szczerzy, przemily gawędziarz. I takim odmalował we jego książce, poświęconej podróży po Polsce i po Włoszech. Bo swobodnie i szczerze są to jego wrażenia i przeżycia z dni, przeżytych w Polsce. Cazin nie byłby sobą, miłośnikiem klasycznej formy i starych pamiętników, i nie byłby Francuzem, gdyby opisu tego nie skompono-

wał w kształcie diariusza podróży w tonie lekkim, półpoważnym i półżartobliwym. Przecięż opisy te przeznaczone są dla Francuzów, którym podróż do nieznanego kraju, jakim jest Polska, trzeba umilić przyjemny-



PAUL CAZIN

mi dygresjami i pogodnym nastrojem. Nie ma więc w książce Cazina nużących opisów, które by odstraszały jego francuskich czytelników, szukających przede wszystkim osobistych przygód autora w obcym kraju. I nie tylko francuskich! Przyszłam się, że z ciekawością czytałem te właśnie ustępy, w których Cazin opowiada o swoim bezpośrednim zetknięciu z polskim światem w codziennych wydarzeniach i niespodziankach. To ma smak świeżości i bezpośredniości i najlepiej oddaje prawdę przeżywanego wrażenia. A ustępów takich jest na szczęście u Cazina wiele. Nie więc dziwnego, że podróż z nim odbywa się z prawdziwą przyjemnością.

Jedziemy więc najpierw z Cazinem szybko przez Francję i Niemcy, aby znaleźć się we Lwowie. Jest zima, święto Matki Boskiej Gromnicznej. Cazin interesuje olbrzymi śnieg i obfitość sanek na ulicach miasta. Zdumiewa go jednocześnie wielka ilość wroblei, zapelniających lwowskie krzaki i drzewa. Lwów podoba mu się, ale musi go opuścić, ażeby opisać Poznań i Warszawę. Krótkie to opisy, szkice od ręki, przelotne wrażenia. Poznań zna dawno, odwiedza tylko wspomnienia sprzed lat, gdy mieszkał w Rogalinie. Najwięcej uwagi poświęca ratuszowi, nieco mniej gmachowi województwa, aby zwiedzić zaraz potem szkołę normalną w Wągrowcu. Następnie już jest w Warszawie, która przy-

muję go „grzecznie, kokieteryjnie, z oparem mgły paryskiej”. Opis jest zbyt krótki jak na stolicę: zwięzła statystyka, pałac prezydium ministrów, kawiarnia Ziemiańska, Boy-Zeleński i Tuwim. Większą łaską cieszy się u Cazina Lwów, gdzie mieszka w gościnnym domu hr. Skarbkowej. Tutaj odnajduje ulubioną zacisną atmosferę przy biurku, pracując nad rozprawą doktorską, tutaj wygłasza swoją pierwszą w życiu prelekcję w rozgłośni lwowskiej, tutaj zwiedza „kawiarnię” Zalewskiego i styka się z lwowskim światem literackim, tutaj słucha prelekcji Boya-Zeleńskiego o Franciszku Villonie. Tutaj w końcu przeżywa polskie święta Wielkanocne. Daje mu to sposobność do szczegółowego opisu polskich obrzędów, zwyczajów i obyczajów świątecznych, polskiego stołu wielkanocnego, który uzupełnia przypomnieniem wspaniałych ucheł u księcia Radziwiłła.

Ze Lwowa wybiera się Cazin na przedwiośniu do Krakowa. W drodze poświęca kilka słów Przemyślowi i swoim dawnym wspomnieniom z Medyki, gdzie „Lela Pawlikowska i Beata Obertyńska śpiewały przy bandurze ludowe piosenki, a Parandowski tłumaczył mi dialekt”. W Krakowie odbywa Cazin zwyczajną pielgrzymkę każdego turysty: kościół Mariacki, rynek, Sukiennice, pałac „pod Baranami”, Biblioteka Jagiellońska. Tam najbardziej interesuje go pomnik Kopernika, któremu poświęca dłuższe refleksje. Kraków wywiera na nim wrażenie „wizji senej, średniowiecznej doskonałej miniatury”. Ostatnimi etapami wędrówki Cazina po Polsce są Krasycin, gdzie bawi w gościnie u hr. Krasickiego, Dubiecko i Żółkiew, w której głębokie wrażenie wywołują na nim krypty kościoła Dominikanów.

Tę krótką podróż po Polsce odbywa się w towarzystwie Cazina szybko i z ciekawością. Ma ona charakter obrazów, widzianych z okna wagonu, przelotnych wrażeń, chwytanych na gorąco. Ale wrażeniom tym towarzyszy zawsze szczerze i gorące ukochanie polskości. Cazin chętnie przymyka oczy na braki i wady, a z radością podkreśla wszystkie zalety, ciesząc się każdą odkrytą przyjemną nowością. Wspomnienia o Polsce towarzyszą mu nawet w dalszej podróży po Włoszech, gdzie nie zaniedbuje sposobności, ażeby przy opisie Turynu i Mediolanu, Padwy czy Pizy zabaczyć choćby na chwilę o Polskę. Ale bo też słuszenie nazwano Cazina francuskim ambasadorem polskości. Z książki jego, w której zebrał tylko przygodne notatki zdarzeń, przebija się dusza wrażliwego i wiernego przyjaciela Polski, jedynego Francuza, umięjętego nie tylko wymówić bez zająknięcia straszne słowo „prezioreczka”, ale kochającego głęboko polską literaturę i kulturę.

KAZIMIERZ BUKOWSKI

<sup>1</sup> KSAWERY PRUSZYŃSKI: *Podróż po Polsce*. Str. 200. Tow. Wyd. „Rój” Warszawa 1937.

<sup>1</sup> Paul Cazin: *Paul qui roule (Pologne-Italie)*. Illustrations de Jacques Vallery-Radot. J. de Grigord éditeur, Paris. Str. 184.



CZESŁAW MIŁOSZ

# ŻOŁNIERZ KOŚCIOŁA WOJUJĄCEGO

Gdyby ktoś chciał rozpatrywać Bernanos'a *Pamiętnik wiejskiego proboszcza* jako zbiór sposobów, podstępów i recept techniki powieściowej — skrzywdziłby, należy przypisać, zarówno autora jak i siebie, ograniczyłby możliwość wzruszenia a siłę sprawdził do umiejętności. Od czasu do czasu spotykamy się z takimi dziełami, któ-



GEORGES BERNANOS

re, aby nasza ocena estetyczna była słuszną, wymagają raczej podziwu i pokory wobec osoby twórcy, niż zadowolenia z jego wiedzy technicznej. Rezultat pojawia się naszym oczom jako krótkie olśnienie, jest niby korytarz, na końcu którego błyska przez chwilę postać, zostawiając nam radość, że oto idziemy w tym samym kierunku. Górowanie osoby pisarza można nazwać (i chętnie to uczynią liczni współcześni teoretycy) złudzeniem, wynikającym z wielkiego kunsztu. Niemniej jednak uczucia, które owładają czytelnikami, są czymś bardzo rzeczywistym, a pomiędzy nimi uczucie poddania się, chęć, aby mędrcze nami przewodził, należy do najsilniejszych i obdarzonych najpiękniejszą tradycją. W gruncie rzeczy poszukiwanie wielkich nauczycieli nie wygasło, kto wie, czy zresztą nie jest to jedyny słuszny pretekst do interesowania się sztuką, którą można nazwać dziedziną nigdy naprawdę niespełnionej wielkości, jakimś krajem limesów; niestety łatwo zapomnieć o jej znikomo szczipłych granicach, łatwo oddać się rozkoszom bałwochwalstwa. Tylko głos największych pisarzy może nas przed nim uchronić.

*Pamiętnik wiejskiego proboszcza* jest książką chropawą i przykrą: na próżno szukałby tu ktoś uspokojenia i lekkiego odurzenia, płynącego z harmonii. Ta książka niczego w nas nie potwierdza, niczego nie ocala. Nawet w tym, w czym czujemy się bezpieczni, dosięga nas pogarda, pełną litości. Wyobrażam sobie jej czytelników: mają usta wykryzione grymasem niechęci i ironii, a na twarzach rumieniec wstydu; odrzucają ją i biorą na nowo, mówią o niej lekceważąco, a kiedy ją skończą, nie mogą się od niej uwolnić. Nie żeby odnieśli tu swoje portrety, albo portrety swoich bliźnich, wykrzywionych, z wyprutymi bebechami — badania psychologiczne nie odrywają tu żadnej roli. Ale sprawy i ludzie pokazani odznaczają się pewną wspólną cechą, która niby opis choroby wycytany w podręczniku medycznym ma zdolność budzenia podejrzeń; podejrzania tym podatniejszy mają grunt, im bardziej choroba jest nieokreślona, im mniej rozpoznaje opiera się na objawach zewnętrznych. Zło u Bernanosa to nie suma grzechów, to nie jest coś, co musi wylądować się w czynach. Zło jest niemal materią światła, jest płynne, powszechne, miesza w tych, co najmniej się tego spodziewają. „Wszystkie grzechy są do siebie podobne, jest tylko jeden grzech”. W oczach małej dziewczynki uprawiającej naiwną dzieciną rozpustę, w wykrzywieniu twarzy młodej dziewczyny pożeranej przez zadróżkę, w spoku rysów starej kobiety, pozbawionej daru miłości, ukrywa się grzech w formie groźniejszej niż w rozpaczliwych morderców i w pustym wzroku cudzołózców. „Jest obcowanie świętych, jest również obcowanie grzeszników. W nienawiści, jaką grzesznicy odczuwają jeden dla drugiego, w pogardzie, jednoczą się, obejmują, skupiają, mieszają ze sobą; pewnego dnia w oczach Przedwiecznego będą już tylko tym jeziorem błota, zawsze grząskiego, po którym przewala się daremnie przypływ i odpływ boskiej miłości, morze płomieni żywych i łuczających, które zapłonęło chaos”. To zajęcie się potęgą zła, wizja ponurej ziemi nieprawości przywodzi na myśl wielu współczesnych pisarzy francuskich — być może, nazwa „mizerabilizmu”, ukuta na oznaczenie tego fermentu w literaturze, fermentu, odznaczającego się pasją odkrywania nędzy i plugawości ludzkiego bytowania, zasłużył kiedyś na prawo obywatelstwa w podręcznikach historii kultury naszego okresu. Bernanos — to

Céline na odwrót, Céline z poprawką, jaką wnosi istnienie wrodzonego ludzkiego naturze popędu ku świętości — taką formułkę można by było ukuć, gdyby formułki były na coś przydatne. Straszna jest nuda i smutek świata, wyrzekającego się łaski Boga. „Jeżeli nasz rodzaj ludzki ma zginąć, zginie ze wstrętu, z nudy. Osobowość ludzka będzie powoli toczona, jak belka, przez ten niewidzialny grzyb, co w kilka tygodni dębową kłodę zamienia w gąbczastą materię, którą palec przebijają bez wysiłku. I moralista będzie rozprawał o namiętnościach, mąż stanu powiększy liczbę żandarmów i urzędników, wychowawca zrehabilituje programy — roztrwoni się skarby, żeby mieścić napróżno ciasto bez drożdży”. Noc wędrowki ludzkiej wydaje się bez kresu, korowód upiórów, nie obdarzonych nawet bytem, tylko pozorem bytu, przesuwają się bez ustanku, strasząc skargami. I nagle żal, pragnienie czystości, jak płacz przez sen rozdziera zasłonę. Wyzwolenie jest możliwe, świętość jest możliwa. Łaska żalu doskonałego za grzechy własne i grzechy całej ludzkości, jedno z podstawowych przeżyć katolicyzmu, unosi się nad pamiętnikiem proboszcza: w ten sposób książka Bernanosa traktuje właściwie wyłącznie o problemie świętości, która, wbrew zapewnieniom pogodnych purystów, rodzi się w męce, graniczy z mrokiem, z otchłanią, i jak wszystko, co warte jest czegoś w ludzkich wysiłkach, wątpi o sobie samej, kaja się, do końca dźwigając ciężar winy; jest jak różdżka wskazująca kryje metałe — w niespodziewanym miejscu — odkrywa zło, tam, kędy przeszłoby spokojnie każdy inny człowiek, pozbawiony dyscypliny żarliwego sumienia. Pokusy osaczają ją ze wszystkich stron, modłita staje się zbiorem pustych słów, wydaje się, że wiara znika. Świętemu, jakim jest niewątpliwie młody proboszcz wiejski, ciężko chory na raka, dziedzicznie obciążony alkoholizmem i niedojadaniem całych pokoleń wiejskiego proletariatu, z którego pochodzi — danem jest przeżyć wszystkie rozterki i zwątpienia w gatunku tych, co zdolały wielu zaprowadzić na drogi odszczepieństwa albo zupełnej niewiary. Ale ciężkie próby otwierają bramę, zamkniętą dla niecierpliwych i zbyt pysznych: modłita odzyskuje swoją moc. „Gdy tak walczył ze wszystkich sił ze zwątpieniem, ze strachem, duch modłity wstąpił znów we mnie. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Od początku tej nadzwyczajnej rozmowy nie przeistawiałem się modlić, w znaczeniu, jakie nadają temu słowu lekkomyślni chrześcijanie. Gdy nieszczęśliwie wierzę pod dzwonem pneumatycznym może wykonywać wszystkie ruchy oddechowe, coż z tego! Oto nagle powietrze wdziara się znowu w jego oskrzela, proście delikatne tkanki płucne już zwiotczałe, tętnice drżą pod pierwszym uderzeniem czarnej krwi — i cała istota jest niby statek w huku wzdymających się żagli”. Młody proboszcz umiera ze słowami: „Wszystko jest łaską”, a jego istnienie nie zostaje bez śladu — zaważył przeciw silnie na życiu tych, co z nim

się zetknęli: pokora i modłita z naiwnego i chorego chłopca uczynili wielkiego znawcę dusz, o wzroku przenikliwym i jasnowidzącym, o mowie ostrej i nieublaganej.

Dar nawracania, czyli dar odkrywania ludziom ich własnych głębin, pojawiał się wtedy właśnie, gdy rozpacz nad słabością najsilniej odzywała się w jego samotnych rozmyśleniach.

Ziemia Bernanosa, jego pejzaże... Jest tu cały dramat życia, które jest walką, a przeciwko zarazem snem, krótkim, uporezywym. Głucha prowincja, nie różniąc się niczym od innych prowincji, wioska jak tysiące wiosek, szarych, zatopionych w błotach, pod deszczem ściekającym po szybach, z wiatrem, wyjącym na drogach. Żadnej barwy żywej, żadnego widoku, który by mógł cieszyć i przywiązywać do tego wygnania. Radość rzek, lasów, słońca nie istnieje, natura jest tylko scenografią dla wewnętrznych utarek: oczy, poszukujące innej jasności, stają się oczami ślepych na doczesne uroki. W jednym tylko miejscu ksiądz doznaje żywego przeżycia i w przelotnym wrażeniu smakuje to, czym mogłaby być jego młodość, zwiędła w murach seminarium, zagłuszona trudem kontemplacji. Oto spotyka kiedyś na szosie młodego zuchwalca, pędzącego z rozwianymi włosami na motocyklu; przyjmuje zaproszenie i siada na siodełku — pędzą setkę na godzinę, a w tej rozkoszy pędu budzi się w obu poczucie braterstwa, braterstwa przez jednakowe upojenie. Obaj kochają szybkość, ryzyko i przestrzeń, młody ksiądz jest z przeznaczenia żołnierzem, tak jak jest nim z zawodu młody motocyklista, oficer Legii Cudzoziemskiej. Ksiądz w tej jednej chwili poznaje prawdziwą wagę ofiary: wszystko co poświęcił stając się żołnierzem Chrystusa. „Zrozumiałem, że młodość jest błogosławiona” — pisze w swoim pamiętniku. „Dochoży głos motoru potęgował się nieustannie, aż w końcu brzmiał już tylko jedną nutą, niesłychanie czystą. Był to jakby śpiew światła, było to samo światło, i zdawało mi się, że idę za nim wzrokiem w jego olbrzymiej krzywiźnie, w jego niesłychanym wznoszeniu się. Krajobraz nie szedł ku nam, rozwierał się zewsząd, i nieco ponad gwałtownymi zeszłymi drogami kreślił się majestatycznie dokoła swej osi, niby drzwi do innego świata”. Nawet przejażdżka motocyklem zyskuje sens symboliczny, tak jak opisy deszczu i mgły wiejskiej: żadna radość pasywna nie zdola nasycić tego człowieka namiętności, charakter jego żąda gwałtownej ekstazy, całkowitego oddania, wyrzeczeń zupełnych, albo zupełnych zdobyczy. Jesteśmy tu w najbardziej niebezpiecznym punkcie chrześcijańskiego pojmowania ludzkich losów, a zarazem na jego rzeczywiście wyznach: To dlatego w życiorysach tyłu świętych zbrodnia pełna jest głodu rzeczy niezmiernych. To dlatego Claudelowi wolno demoniczny Rimbauda nazywać nieświadomym swojej wielkości aniołem. Zachłanność i niecierpliwłość zrodziły odszczepieństwo Lutra. Zachłanność i niecierpliwłość gonią nas,

ludzi współczesnych, od doktryny do doktryny, od prawdy do prawdy, nas, nie mogących zgodzić się na nikczemność tego, co jest dzisiaj naszym udziałem. Czyżby i w tym tkwił znak nadziei, załęk przebaczenia? Czyżbyśmy naprawdę mogli oczekiwać, że grzech, wynikający z „głodu serca”, z przesadnej wrażliwości, będzie nam odpuszczony? Herezja współczesna niewątpliwie polega na egzaltowanym dążeniu do odszukania sprawiedliwych norm rządzących społeczeństwami, do usunięcia krzywdy. Diabeł, sprzymierzeniec wszelkiej egzaltacji, nakłada okulary pychy i poprzez ich szklą widać kłamliwe obrazy doczesnej szczęśliwości. Mierność, a czasem nikczemność sług Kościoła, oddanych intrygom politycznym i jawnej obronie krzywdzicieli, łączy się w naszej wyobraźni z samym Kościołem, a dla ostrożności Rzymu nie mamy zrozumienia, nazywając ją chętnie brakiem odwagi. Droga proboszcza Bernanosa, który całe swoje nieprzejądanie i całą zachłanność przepisał na modłitwę, wydaje się zbyt trudna, niemal niedostępną i buntujemy się przeciwko niej w naszym przywiązaniu do czynu, pojętego niestety zbyt naiwnie, jako mroźca ruchliwość, jako miesienie owego „ciasta bez drożdży”.

Czy jednak dostatecznie zbliżyliśmy się do zamiarów instytucji z założenia wiecznej i rozkładającej swoją pracę nie na dziesiątki lat, a na stulecia, mądrej smutną mądrością — mądrością, która widzi kruchość ludzkich wysiłków? Dla katolików typu Bernanosa nie jest konieczna suma złudzeń, do jakich współcześni heretycy roszczą prawo. Ze Kościół opiera się dzisiaj na klasach społecznych najmniej powabnych dla wizjonera przyszłości, najmniej prometejskich, że nieraz przykładuje siłom wstecznym, używającym armaty i czołgu jako ostatecznych argumentów — ci katolicy nie zaprzeczają. Kościół utracił w dużym stopniu wpływ na warstwy produkujące w dzisiejszym ustroju, na elity gospodarczą i kulturalną; w wielu krajach proletariatu wylamał się spod jego władzy, przybierając postawę wroga i wobec kleru i wobec religii, np. proletariatu francuskiego lub hiszpańskiego. Kościołowi pozostały warstwy średnie, malodulne mieszczaństwo, miliony sklepikarzy, drobnych urzędników, rentierów, wreszcie przywiązane do tradycji i konserwatywne chłoptwo. Katolicyzm dla tych warstw oznacza zachowanie *status quo*, jest bardziej narzędziem obrony ich oszczędności, ich domów, gruntów, przywilejów, niż potrzebą rozszerzenia granic ducha. Tymu wiernych, ale jakże marnych, jakże mało gorliwych, wiernych z nauką, nie z zapalczywością. Ale może właśnie tak być musi. Na barkach tych ślepych dźwiga się przyzmiere ludzkości z prawdą, objawioną w Ewangeliach. „Kościół — mówi Bernanos — kroczy poprzez czasy jak oddział wojska przez nieznaną okolicę, gdzie wszelkie normalne zaopatrywanie się w żywność jest niemożliwe. Żyje z kolejnych ustrojów politycznych i społecznych, tak jak wojsko żyje z ludności, z dnia na dzień”.

Trudno sądzić, czy *Pamiętnik wiejskiego proboszcza* jest dobrą w znaczeniu literackim powieścią. Można by postawić zarzut, że w samym pomysle — dziennika prowadzonego przez księdza, dziennika, gdzie umieszczone są szczegółowe, niby stenograficznie zapisane długie rozmowy, tkwi sztuczność. W dokładnym opisywaniu czynów, dokonanych przez siebie samego jest coś, co napewno raziloby skromnego proboszcza, tak dbałego o utrzymanie w sobie pokory. Wrażenie to potęguje styl Bernanosa, oparty głównie na dialogach. Zapewne czuł to autor, każąc księdzu wyrzekać i niszczyć niektóre strony — w ten chociaż sposób akcentuje powściągliwość, jakich doznawał pamiętnikarz. W każdym razie *Pamiętnik wiejskiego proboszcza* jest książką wstrząsającą, zdolną obudzić sumienia, zakrzepło w pobłażliwości dla własnego lenistwa. Podobno zdarzyły się wypadki, świadczące dobitnie o olbrzymim znaczeniu, jakie może mieć dzisiaj pisarz tak namiętny, tak spragniony właściwego powołania artysty. Mówię o wypadkach nawrócenia. Nie będzie chyba nikogo, kto by mógł pozostać obojętnym na ten krzyk nienawiści do Zła, na pasję, o ileż wyższą od przebranej w surowość słodyczy Mauriaca.

Ale ci, których ta książka poruszyła do głębi, powinni pamiętać, że nie ma jeszcze prawa nazywać się katolikiem ten, kto został nim pragnie ze względu na gust estetyczny. Pomiędzy katolicyzmem Bernanosa i pomiędzy katolicyzmem familienblattów, pisemek z Niepokalanowa, wiecowych przemówień jest przepaść. I tylko ten, kto przepaść wypelni dostatecznym zrozumieniem i dostateczną pobłażliwością, zasłuży na tytuł wyznawcy Kościoła.

CZESŁAW JANCZARSKI

## POGODA

*Przebiegł mi szybko cień kolo lip za ogrodem,  
to jaskółka wpadła w niebo jak kamyk w głęboką wodę —  
i tylko plask błękitnego ruczaju.*

*Po lipcowej nocy na ścieżkach modraszki mrugają.*

*Wiszą wiatru przezroczyście struny,  
płyną jary sierścią głogów i jeżyn.  
Z wiatru padają modraszki,  
na dnie traw, jak kropla, motyle oko leży.*

*Wybiegnę tobie naprzeciw, o, wiatrowłosa pogodo  
pod lipami co w zielonych czepach szumu  
czekają.*

*Gdzie jesteś? Oto szuka ciebie ktoś w dolinie chłodu,  
różowe szale mgły rzuca na wiatr.*

*Podrywają się ptaki —  
czarnobiałe skrzydła czajek  
wiatr boda.*

*Może skoczy w chłodne dno jaru,  
nad głogami na chwilę zawisnie  
i upadnie potem w szum i cieni?  
W dolinie strużka krwi: młody  
usnął pod głogami w taki dzień.*

*A tu modraszki, jaskółki przezroczyście nitki snują,  
konewki kopru kwitną zza parkanu.  
Na ścieżce ślad czyjejs stopy, czyjejs?  
Ktoś przebiegł tędy rano.*

CZESŁAW JANCZARSKI

CZESŁAW MIŁOSZ



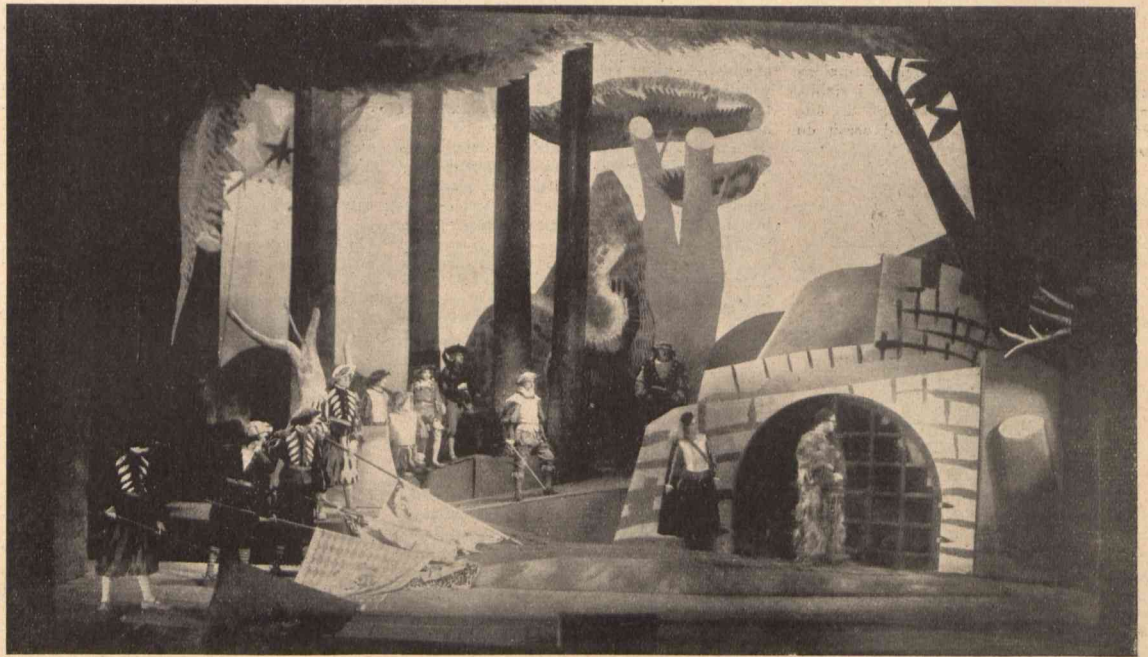
B. W. LEWICKI

## EGZOTYCZNA POLSKA W HISZPAŃSKIM MORALITECIE

Artykuł będzie dotyczył wystawienia w lwowskim Teatrze Wielkim dramatu Calderona *Życie snem*. Do przedstawienia użyto przekładu Edwarda Boygę. Widowisko reżyserował Antoni Cwojdzński w dekoracjach Andrzeja Pronaszki przy ilustracji muzycznej Jakuba Munda.

Wybór tego właśnie dramatu — niezwykłego, przynajmniej, i nieoczekiwanego w dzisiejszym teatrze — nie dziwi w linii repertuarowej teatru Horzycy. Dramat Calderona samą swoją wewnętrzną istotą wyraża z założeń moralitetowych i jako taki leży na linii zainteresowań inscenizatora Chestertona, Shawa, Szekspira i wielkiego dramatu romantycznego. Idzie tylko o stwierdzenie założeń, które mogą teatralną wizję calderonowego świata uczynić interesującą i żywotną dla dzisiejszego widza teatralnego. Rzecz oczywista, że w ramach t. zw. „teatru z tezą” nie będzie na ogół miejsca dla wskrzeszonej z archiwum przeszłości sztuki o największej choćby skali arcyzmu i idei. Natomiast w teatrze kulturalistycznym przetłumaczenie wizji genialnego Hiszpana jest możliwe i wdzięczne jako zadanie inscenizacyjne.

Utwór Calderona stanowi jeden z etapów dramatu hiszpańskiego; wyrasta z ducha baroku hiszpańskiego. Treścią jego istotną, niezależnie od sytuacji i postaci występujących, jest przedziwny mistycyzm katolicki, jakby sprzężony ze wschodnim fatalizmem. Dramat *Życie snem* wśród innych dzieł Calderona posiada znaczenie zupełnie wyjątkowe. Jest najbardziej dobitnym powiedzeniem tego, co autor jego, znakomity



„ŻYCIE SNEM” — SCENA ZBIOROWA Z AKTU III



SCENA Z AKTU III

hidalgo, żołnierz, kapłan, intendent teatralny i nadworny poeta aktora w koronie, Filipa IV — chciał twórczością swoją wyrazić. Przynależny do epoki pełnego rozkwitu idei moralności hiszpańskiej, która do dziś dnia zresztą niewielkim uległa zmianom, wszedł Pedro Calderon de la Barca w gotowe już formy artystyczne i na ustalające się już tradycje moralno-obyczajowe. Nie zapierał się nigdy korzystania z dorobku wielkiego Lope de Vegi. Mówił: „Nie przyszedłem zmieniać, ani reformować, lecz być posłusznym”. Owo „być posłusznym” wprowadza nas najlepiej w atmosferę jego przodującego moralitetu, który — podobnie jak nasz Kochanowski *Odprawę posłów greckich* — umiejscowił w mitycznym wymiarze geograficznym i dziejowym. Taką mityczną Troją dla czytelnika i widzów Calderona jest w *Życiu snem* — Polska. Owa Polska Calderona jest tylko poetyckim *nirgendwo*, z którego tym dobitniej przemówić miała moralna, katolicka, fatalistyczna ideologia życia.

Teatralność lwowskiej inscenizacji *Życia snem* zamknięta została obszarem sceny przestrzennej. Owe góry, na rzekomym pograniczu polsko-rosyjskim z rozwichrzonymi sośniskami, ów zamek króla polskiego Bazylego I (czyżby jakiś bajkowy Wawel?) umieszczone zostały pod dużym horyzontem błękitnym. Jako widomy symbol sił, które dla postaci dramatu niewidzialne w firmamencie niebieskim tkwiły, umieścił Pronaszko na niebie scenicznym gorejącą czerwoną konstelację Raka. Będzie to znak si-

ly gwiazd, przeciw której nadaremnie chce podnieść bunt król Bazyl.

Różnorodność terenu scenicznego nie była zamierzona konstruktywnie, ale wynikała z architektury stylizowanego realizmu dekoracyjnego. Poszczególne fragmenty akcji wydobywała gra światła.

Postaci „polskiego” dramatu Calderona odziane zostały przez inscenizatora lwowskiego w stroje hiszpańskie. Tak najwłaściwiej potraktowana została owa jedyna konkretność materialna tego utworu, który, jak żaden może inny, mimo swego pozornego egzotyzmu, jest nawskroś hiszpański i z hiszpańskiego ducha zrodzony.

Wzorem inscenizacji dramatów romantycznych wprowadzono do przedstawienia dramatu Calderona ilustrację muzyczną. Nie odsądzając jej sensu jako efektu inscenizacyjnego, zauważyć można, że klęczała się niejednokrotnie z sytuacją, która tylko i jedynie wyrażona być powinna wierszem. Ma to tym większe znaczenie, że wiersz Boygę dźwięczał naprawdę pięknie, jak w utworze oryginalnym (wystarczy przypomnieć wstępny komos Zygmunta, albo też jego monolog o śnie, wystarczy zwrócić uwagę na szerokie tyrady Bazylego, Kłalda i Rosauri).

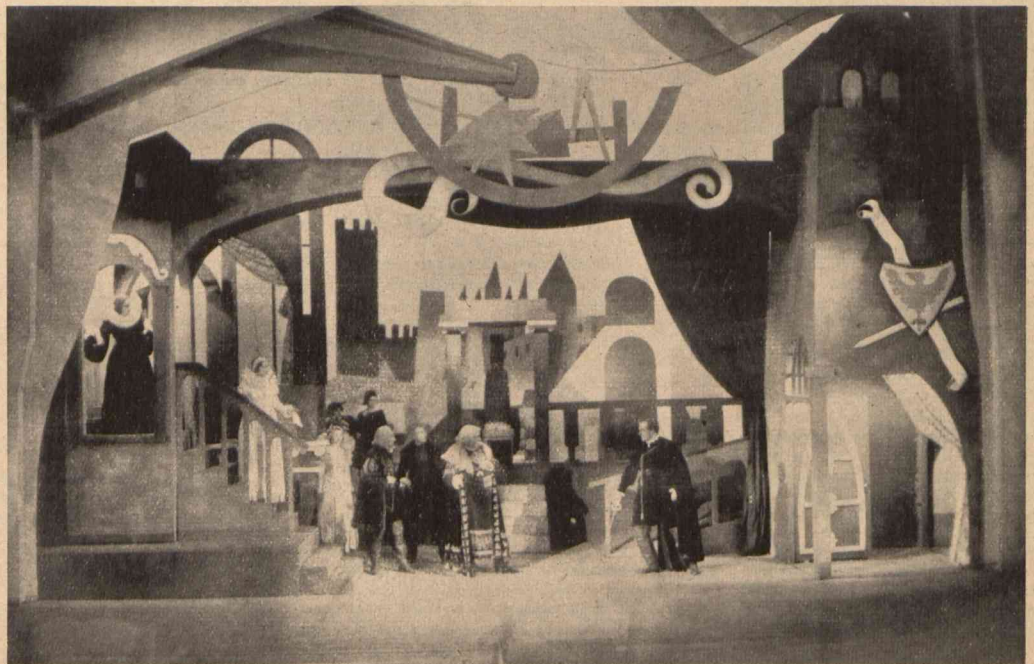
Reżyseria Cwojdzńskiego ujęła w tok zwartej, nie przerywanej się sytuacji scenicznej fragmentaryczność calderonowego oryginału. Poszczególne epizody akcji łączyły się z sobą, jakby nawzajem logicznie powiązane. Reszty dzieła inscenizacyjnego doko-

nali odtwórcy ról głównych. Patetyczny, mówiony charakter dramatu Calderona opiera się przede wszystkim na deklamacyjnym patosie aktora i z niego dopiero wyprowadza to, co nazywamy grą sceniczną. Dlatego też inscenizacja tego dramatu przypominała niekiedy doskonale przygotowane oratorium słowne, choć wcale nie traciła charakteru widowiska.

Typ calderonowego aktorstwa uchwycił z przedziwną intuicją Władysław Krasnowiecki, przewodzący w roli Zygmunta całemu zespołowi. W jego ustach wiersz Calderona-Boygę dźwięczał prawie muzycznie. W muzyczności tej ginęła dłużyzna monologów i wtedy właśnie myślało się, że niepotrzebna jest ilustracja muzyki prawdziwej.

Dramat *Życie snem* składa się z dwóch wątków. Jednym z nich jest boski wątek sensu istnienia, drugi zaczyna o życiowy moment anegdoty szlacheckiej. Z pierwszego wynika idea, że życie jest tylko snem, drugi jest literackim dokumentem dumy szlacheckiej. Aktorami wątku pierwszego są król i Zygmunta, król Bazyl i jakby z Szekspira zapożyczony sprytny prostak Klaryn. Ideologia całego dramatu zawiera się w słynnym urywku monologu Zygmunta:

„Czem całe życie? Szaleństwem!  
Czem życie? iluzji tłem.  
Snem cieniów, nicości dnem.  
Cóż szczęście dać może nietrwale,  
Skoro snem życie jest całe  
I nawet sny tylko są snem”.



„ŻYCIE SNEM” AKT II



Stąd płynie rezonerski charakter wydzwiku dramatu, potwierdzony ustami jego bohaterów. Bazyli, król-mędrzec, oświadcza: „Wszyscy, co żyją na ziemi, snią sen radości lub bólu”. Umierający Klaryn szepcze: „Ach nie ma schronienia przed losem, co wszystko zwycięża”. Słyszymy wreszcie od Zygmunta: „Raz śnić wystarczy, by wiedzieć, że szczęście i cały świat ten przemiesza, jak sen pierzeliwy”.

Pognębiona chęć walki z przemocą sztycherzy gwiazd, sublimowana idea biernego poddania się losowi, opatrzone wskazaniem szlachetnego życia, oto, co wynika z mroków mistycznych, otaczających dramat Calderona.

Przecinający się z wątkiem moralnym wątek obyczajowy, opiewający pomstę dum-

nej szlachcianki, jest tylko stale występującym w dramatach Calderona ustępstwem na rzecz gustów galerii szlacheckiej, towarzyszącej calderonowym przedstawieniom na dworze Filipa IV. Niemniej ta właśnie sprawa zabarwia utopijny egzotyzm dramatu Calderona tętniącą falą krwi kastylijskiej, stanowi łącznik dramatu z terenem, z którego wyrósł i dla którego został stworzony. Egzotyczna Polska bowiem, jak już wspomniano, jest tylko algebraicznym znakiem mistycznej tęczy, po której spływają symbole hiszpańskiego moralitetu. Ukazanie mistycznej Polonii, z rozwleczonym na jej tle obcym mistycyzmem, jest fenomenem artystycznym pierwszej jakości.

B. W. LEWICKI

JERZY ZAGÓRSKI

# Outsider wydłuża krok

Stefan Napierski przypomina półkom księgarskim o swoim istnieniu poetyckim dwiema, równocześnie ukazującymi się, książkami: *Elegie i Próby*. Są to książki, których bliźniactwo jest znacznie głębsze niż tylko chronologiczne — i trudno je omawiać oddzielnie — mimo, a może właśnie dlatego, że są bardzo odrębne, gatunkowo odrębne — jak mąż i niewiasta, jak brat i siostra. To, że jedna książka jest pisana „wierszem”, a druga „prozą” lub prozą poetycką, a jeszcze ściślej „prozą graniczącą z wierszem” — są to znamiona ściśle zewnętrzne jak kolory okładek. Pod tymi formami kryją się zjawiska biegunowo sprzeczne, a jednak dopełniające się. Razem składają się na okrągłe odbicie autora i odsłaniają jego osobę. Jego osobę? Tak, gdyż mało jest pisarzy, którzy tak nie dadzą się oddzielić od swych utworów jak Napierski i mało jest książek, których tak nie można traktować oddzielnie od ich autora, jak książki Napierskiego.

Dawny Napierski — rówieśnik pięciu matadorów *Skamandra*, anachronistyczny w stosunku do nich, częściowo (psychologicznie) w stosunku do nich spóźniony, częściowo (poznawczo) wyprzedzający ich, ale nie mogący schwycić wspólnego z nimi taktu (z wyjątkiem do pewnego stopnia Iwaszkiewicza) — zagłuszony, steroryzowany artystycznie przez mocne nie tylko w artyźmie, ale i w tupecie swoje najbliższe poetyckie otoczenie — łatwo został określony i sklasyfikowany jako „zabłąkany nie w swoje czasy romantyk” i t. p. Istotnie, jeżeli weźmiemy pod uwagę publikacje z czasów *Cieni na wietrze*, to twórczość Napierskiego i jego postawa czyniły wrażenie przygarbionych, a poezja wydawała się oglądaną przez matowatą szybę. W miarę ukazywania się nowych książek, przekładów, wierszy — sytuacja jednak zaczęła nabierać innej barwy, innego blasku. Mianowicie „przygarbienie” zaczęło coraz bardziej odsłaniać się nie jako postawa człowieka cofającego się w siebie — poetyckiego ślimaka, ale jako postawa człowieka wspinającego się na jakiegoś (w tej chwili bardzo trudne do sprezywania) góry, a „matowość” zaczęła znajdować usprawiedliwienie w mgłę. W mgłę, o której nic nie wiemy: czy leży na oczach wędrowca, czy jego obserwatorów — czy jest po prostu nieodłącznym towarzyszem niektórych warstw, poprzez których zbroza prowadzi droga.

W tej chwili jedno tylko można zaobserwować: mgła jest zjawiskiem przejściowym, rzadkim. Jeszcze *Elegie* — ten bardziej ostrożny, bardziej obwarowany bliźniak, ma cechy matowości, spętania pewnymi konwencjami, trzymanie się rękami za pewne kłamy (klasyczne) i poręcze (parnasowskie) — jest to, być może, harmonijniejszy, poprawniejszy tom, ale (mimo odrębności rozwojowych) nie pozbawiony atawistycznych związków z *Ziemią, siostrą daleką*, wydaną przed rokiem. Przepaść jest — ale ponad przepaścią przeczuwamy linię. *Próby*, ta bardziej niespokojna, neurasteniczna, niepokojąca, dziwna książka jest czymś zupełnie innym. Jeżeli to nie jest jeszcze spojrzenie jasne i niezamącone — i jeżeli to nie jest jeszcze pochod bez żadnych podpór w kraju klarownym — to w każdym razie jest to zdecydowanie się na przetarcie okularów z pary, jest to puszczenie ręką poręczy coraz mniej potrzebnych. Użyliśmy terminu „jeszcze” i „już” w odniesieniu do poety, którego „głucha data urodzin” klasyfikuje jako dojrzałego na tyle, że te przyszłości nie powinny być stosowane. Jednak w stosunku do Napierskiego nie bójmy się ich zastosować. Nie jest to konstrukcja ani poety, ani człowieka, który osiąga swój pełny wyraz w wieku lat 12, lub 24. Struktura Napierskiego każe przewidywać możliwość tej pełni znacznie później. Nie łudźmy się, że stosunkowo mały rezo-

naus, jaki miewała poezja Napierskiego, wpływa tylko z braku kulturalnego odbiorcy — musi to zapewne płynąć i z własnego błakania się poety. Ale tak, jak po błędach poznaje się inteligencję, tak samo nieraz tylko z błakania się wynika samotność — ta jedyna odekocznia pełni, a im bardziej drażniące, uciążliwe, lub długie bywa błakanie się, tym większe możemy przewidywać możliwości.

W tej chwili jeszcze nie można nazwać Napierskiego inaczej, jak outsiderem polskiej poezji powojennej. Ci, którzy zechcą w świadomy sposób „stawić” na tego outsidera (choć nie ma rzeczy sprzeczniejszej z p o e z j ą, niż stawianie, klasyfikowanie i inne wysycić!) a zechcą to czynić ze świadomością swego postępu, będą mogli uwzględnić stały rozwój równoległy: osiągnięć własnych i rozeznania. Jeżeli nie możemy się zgodzić w zupełności na przypuszczenie, że i jedno i drugie zbliżyło się już o nieprzekraczalne limesy do osiągnięć ostatecznych — tym większy możemy klasę ładunek w przypuszczenie, że te ostateczne osiągnięcia i rozeznania będą pewne.

Teraz coś nie coś o „imponderabiliach”. *Elegie* są pisane wierszem — wierszem klasycznym ze wszystkimi jego konsekwencjami. Konsekwencją wiersza klasycznego jest parnasizm (inaczej byłby wulgaryzm) i pseudo-klasycyzm (inaczej nie byłoby postawy w i e r n e j). Gdzie się kończy klasycyzm, a gdzie zaczyna pseudo-klasycyzm, uchwycić trudno. Jest pewne, że jedynym pojęciem przeciwstawnym klasycyzmowi są formy indywidualne. Jeżeli więc kto ma predyspozycje do indywidualności własnej, to może tworzyć kreaacje praeklasyczne lub przeciw-klasyczne. Jeżeli zechce tworzyć kreaacje post- (czy neo-?) klasyczne, będzie zawsze skazany na pseudo-klasycyzm. Klasycyzmu w czystym znaczeniu nie może osiągnąć ten, co ma własne oblicze — może tylko ten, co ma oblicze wspólne. Ponieważ Napierski w *Próbach* mocno sygnalizuje swoje oblicze — znajdziemy poparcie i ułatwienie do pogodzenia się z odruchem, że *Elegie* są pseudo-klasyczne. Oczywiście nie podkładamy żadnej treści negatywnej pod przyimek „pseudo”. Formy indywidualne: barok, gotyk, chińszczyzna, zapewne nie są bliższe harmoniom elementarnym klasycznym, niż ich konsekwencje. Miarę można tylko brać ze zbliżenia do tych harmonii, z konsekwencji, z zasięgu. Otóż „neo”-klasycyzm Napierskiego jest w *Elegiach* bardzo konsekwentny — a rozmaitości rysunku wierszy dowodzi właśnie nie-ciasnego zasięgu i jest warunkiem większego możliwego zbliżenia i korelacji z klasycyznością (a o cóż innego ostatecznie w tym „neo” idzie?). Rezultatem tego, gdy ktoś o pewnych predykcjach indywidualistycznych chce być tak nienaganny — są pewne spętania, od których zupełnie jest wolny tom „prozy” p. n. *Próby*”.

Prozy? Część I-a tej książki wydaje się spełniać podobną higieniczną rolę w duszy poety, jak znaczna część dygresyj w *Beniuoskim* u Slowackiego.

Druga część *Prób* zawiera, (aby labirynt był ciekawszy) podobnie jak pierwsza książka, *Elegie*, parafrazy z Hafisa — pisane prozą poetycką i *Zdarzenia prawdziwe*, gdzie autor zajął się notowaniem dokumentarnym pewnych obserwacji wewnętrznych i zewnętrznych i ujął to w niby-prozę, ale taką, którą za Antonim Lange można było by nazwać „dziwną mową” o „tajemniczych orkiestrach”. Wszystko to jest odważne, ryzykowne i wynika się spod konwensu „prozy poetyckiej”. Również tego nie można nazwać „wierszami prozą”, choć byłoby to bliższe prawdzie i określenie to miałoby podobną dynamikę nonsensu, jak np. „parujący łód”.

JERZY ZAGÓRSKI

## Sprzedaje się towary

na terenie Województw: Lubelskiego i Wołyńskiego przy pomocy miejscowego detalisty

## Zwiększa się ich sprzedaż

przy pomocy ogłoszeń pomieszczonych w miejscowym dzienniku

## „Express Lubelski i Wołyński”

XIV rok wydawnictwa

Najwyższy na tych terenach nakład

Exemplarze okazowe, prospekty, szczegółowe oferty i plany kampanii ogłoszeniowych, opinie dotychczasowych inserentów, odwiedźmy akwizytorów — na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: LUBLIN, Kościuski 8, tel 23-60

Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82

ORZESZKOWA JAKIEJ NIE ZNAMY



W kwietniu GEBETHNER i WOLFF przyjmuje

# SUBSKRYPCJĘ

NA TANIE OZDOBNE WYDANIE

# PISM E. ORZESZKOWEJ

pod znakiem

Polskiej Akademii Literatury

Redaktorzy:

A. Drogoszewski i L. B. Świdorski

30 TOMÓW

(ca 7500 str., formatu 14 1/2 x 20 1/2 cm)

**Wydanie rewelacyjne:** wszystko, co w twórczości Orzeszkowej jest wielkie, nieprzemijające, charakterystyczne. Teksty wolne od wypaczeń, dokonanych przez cenzurę i „poprawiaczy”.

**Szata zewnętrzna** pierwszorzędna.

Format, czcionki, papier jak w Pismach

B. Prusa. Wzór okładki i oprawy nieco zmieniony. Piłno rdzawe ze złoceniami.



Wzór broszury



Wzór oprawy

**Cena: Raty już od zł. 6 udostępniają subskrypcję wszystkim**

**Broszura: zł. 88 + 10 zł. na przesyłkę, płatne: I i II rata po zł. 10, dalszych 13 rat po zł. 6.**

**Oprawa: zł. 115 + 10 zł. na przesyłkę, płatne: I i II rata po zł. 10, dalszych 14 rat po zł. 7.50.**

Przy odbiorze w księgarniach (tylko w Warszawie) odpada koszt przesyłki.

**Przy wpłaceniu całej należności z góry — 10 zł. opustu.**

Po zamknięciu subskrypcji ceny będą podwyższone o 25-30%.

**SUBSKRYPCJĘ PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE KSIĘGARNIE**

Pion

DO GEBETHNERA I WOLFFA, WARSZAWA, ZGODA 12

Zgłaszam subskrypcję PISM E. ORZESZKOWEJ w 30 tomach, w broszurze — w oprawie — z przesyłką — z odbiorem w księgarni (w W-wie). Wpłacam na P. K. O. Gebethnera i Wolffa 6.353 całą należność — I ratę: zł. 10. — resztę zobowiązuję się wpłacać do 10-go każdego miesiąca w 13 — w 14 — w 15 ratach (Niepotrzebne skreślić).

Nazwisko i imię .....

Dokładny adres .....

Podpis .....

Kupon wypełnić czytelnie, wysłać w niezaklejonej kopercie z napisem: „Zamówienie księgarskie” i z 5 groszowym znaczkiem.

# DROGA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO. Założony w roku 1922. Redagowany przez WILAMA HORZYCĘ

**DROGA** jest pismem wszechstronnym i omawia zarówno zagadnienia ogólnie-kulturalne, jak i sprawy polityczne, społeczne, gospodarcze, literackie, artystyczne i naukowe.

**DROGA** daje syntetyczne ujęcia wszystkich aktualnych problemów współczesności i wiąże je w jednolity system światopoglądowy.

**DROGA** stanowi laboratorium idei i dąży do nadania całemu życiu polskiemu kierunku zgodnego z postulatami nowoczesnej, świadomej swych zadań państwowości.

**DROGA** daje każdemu czytelnikowi klucz do zrozumienia najważniejszych zjawisk, zachodzących w Polsce i za granicą.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, CHMIELNA 33 m. 5.

Telefon 2.75-34. Konto P. K. O. 518.



ANTONINA SPANDOWSKA

## HAUSFRAU NA TRONIE

20 czerwca 1937 r. minie sto lat od chwili, gdy na tronie angielskim zasiadła bardzo młoda i bardzo dobrze ułożona dziewczynka, której od dzieciństwa wpajano cnoty pobożności, przyzwoitości i uprządkowanego trybu życia. Wiktoria<sup>1</sup> była wdzięcznym materiałem dla swoich wychowawców. Przez sześćdziesiąt cztery lata swego panowania nie popełniła ani jednego grzechu przeciw przepisom dobrego tonu.

Zawsze doskonale poprawna i konwencjonalna, pełna taktu i umiaru, wierzy szczerze i z przekonaniem we wszystkie prawdy obowiązujące. Nie zastanawia się nad nimi, bo w ogóle nie lubi się zastanawiać, nie nachodzą ją wątpliwości, nie gnębi krytycyzm. Nie miewa nawet w najskrytnej tajni duszy myśli, niestosownych dla osoby ukoronowanej. W młodości oddaje należne superlatywy przeżyciom tego rodzaju, jak pierwsza komunja, lub koronacja. Później, jako królowa, umie szczerze wzruszać się do łez w okolicznościach, wymagających urzędowego entuzjazmu.

Wiktoria nie zmienia się, nie rozwija przez całe swoje życie. Cały długi, burzliwy i rewolucyjny wiek dziewiętnasty nie zdołał zrobić najmniejszego wylomu w jej solidnej stateczności. Wiktoria z roku 1897 wyznaje dokładnie te same poglądy, które obowiązywały w r. 1837. Do śmierci pozostała niezłomnie wierna religii, której nauczono ją w dzieciństwie; wszelkie przemiany społeczne i obyczajowe jej czasów nie naruszyły zapatrywań Wiktorii. Kobieta na tronie była najgorętszą przeciwniczką emancypacji kobiet.

Ale sprzeczność tu jest tylko pozorna. Wiktoria nigdy nie była „królem”. Nie pozwałała kobietom mieszać się do życia publicznego, ale sama też nie nadużywała swych praw w tym kierunku. W gruncie rzeczy pozostała zawsze małą, bezpretensjonalną kobietką, która ciężar rządzenia chętnie przerzucała najpierw na męża, a potem na któregoś ze swych zdolnych i odpowiedzialnych ministrów.

Jako panująca, Wiktoria była osobą nieciekawą, mało indywidualną. Tego zdania jest również autor biografii Wiktorii i na tle jej życia maluje postaci osobistości rzeczywiste wybitnych, znacznie bardziej interesujących niż sama królowa. Kompozycja

<sup>1</sup> LYTTON STRACHEY: *Królowa Wiktoria*. Towarzystwo Wydawnicze „Rój” — Warszawa 1937.

książki zlewa się harmonijnie z przebiegiem życia Wiktorii: tylko wstęp i zakończenie traktują ściśle o niej samej, tak jak tylko we wczesnej młodości i w ostatnich latach Wiktoria była główną bohaterką swego życia. Środkowe rozdziały poświęcone są poszczególnym postaciom, które kolejno odgrywały decydującą rolę w życiu Wiktorii. Są to jak gdyby małe monografie tych ludzi, w których postać królowej jest tylko tłem. Budowa taka ściśle odwzajemnia życie Wiktorii. Z prawdziwie kobiecą uległością poddawała się wpływom mężczyzn.

Tak mamy w jej życiu kolejno panowanie lorda Melbourne, Księcia Małżonka, Disraeliego, lorda Salisbury. Melbourne był czarującym cynikiem, przeniesionym jakby przez pomyłek z XVIII wieku w epokę trudną i nie rozumiejącą go. Pod jego wpływem Wiktoria staje się odrobinę bardziej wolnomyślna, jeżeli w ogóle w stosunku do niej można użyć tego słowa. Strachey nazywa ten moment w jej życiu „odwróceniem głowy w stronę osiemnastego wieku”. Ale w tej krytycznej chwili jawia się Albert (późniejszy Książę Małżonek) i Wiktoria staje się uległą, prostoduszną Niemeczką, wpatrzoną z nabożeństwem w geniusz swego męża.

Odtąd w jej imieniu i za jej płomienną aprobatą Albert sprawuje rzeczywiste rządy. W ciągu długiej „ery wiktoriańskiej” okres wpływów Księcia Małżonka zaznacza się w historii Anglii, jako ciągły wzrost władzy królewskiej. Była to faktycznie władza Alberta.

Miał on szerokie kwalifikacje na władcę — wszystkie te, których brakowało Wiktorii. Jej nieskoordynowanej arbitralności przeciwstawił prawdziwie silną wolę, spokojną stanowczość. Dzięki swej nieskazanej niemieckiej rzetelności i pracowitości, dzięki inteligencji i gruntownemu wykształceniu zdobył wgląd w całokształt polityki i stopniowo uzyskał decydujący wpływ na rządy. Jego autorytet moralny i intelektualny był tak wielki, że po jego śmierci Disraeli odważył się na takie zdanie: „ten niemiecki książę rządził Anglią w ciągu lat 21 z rozumem i energią, jakiej nie wykazał nigdy żaden z naszych królów... Gdyby przeżył niektórych „starych graczy” politycznych — zaszłobyśmy za jego sprawą ogłoszenie rządów absolutnych”.

Niestety stanął mu na drodze szczegól-

nie jeden „stary gracz polityczny” — lord Palmerston. Wspaniałe obraz walki tych dwóch ludzi, dwóch sposobów pojmowania życia, dwóch światów — jest najwyższym osiągnięciem artystycznym Stracheya. Z jednej strony staje Niemiec — Albert, o gruntownym analitycznym umyśle, pełen niewzruszonych zasad, z drugiej — rzutki i lekkomyślny Anglik, Palmerston. Na tych kontrastach polegała tragedia Alberta. Po wielu latach rządzenia ogarnia go pesymizm. Bezskuteczne było i z góry skazane na zagładę to zmaganie się typowego Niemca z Anglią, której nie rozumie i której nienawidzi. Lord Palmerston wygrała dlatego, że jest Anglikiem z krwi i kości, „ze swim bezpodstawnym optymizmem, mętną głową i zupełnym brakiem zasad”.

W ciągu 20-tu lat małżeństwa z Albertem współdziała Wiktorii w rządach był niewielki. Działała zawsze po myśli planów męża i tylko po to, aby blaskiem swej korony udzielić mu poparcia. Treścią jej życia było pielegnowanie domowego ogniska i delectowanie się idyllą w gronie rodzinnym. Był to rozkwit ery wiktoriańskiej.

Po śmierci Alberta Wiktoria usiłowała kontynuować jego dzieło. Ale w zestawieniu z rządami księcia uderza od razu pływająca jej autorytetu i władzy. Jej sangwiniczny temperament żądał posłuchu i wytwarzał pozory autokratyzmu, ale umysł nie rościł równych pretensyj. Toteż Wiktoria zadawała się namiastkami władzy, sprawowała ją w rodzinie i na dworze, w polityce zaś ograniczała swój wpływ do spraw, które dotyczyły bezpośrednio jej rodziny, lub godziły w jej mieszczańskie poglądy. „Niebezpieczne zagadnienia pozostawiała chętnie dyplomacji i rozmowi lorda Salisbury”.

Przez cały czas swego panowania Wikto-

ria była tylko „ornamentem”. Władza spoczywała najpierw w rękach Alberta, potem kolejno w rękach premierów Gladstone’a, lorda Beaconsfield i lorda Salisbury. Rola korony w rządach nigdy nie była tak nikła jak za jej czasów, w dodatku coraz to bardziej malala. Jak na ironię imię tej królowej brzmi — Wiktoria.

Władza królewska osłabła zgodnie z duchem epoki, a jednocześnie wskutek rozkwitu imperializmu angielskiego dała się odczuć potrzeba symbolu i prestiżu tronu podniosła się niezmiernie. W tej szczególnej sytuacji Wiktorii nadawano się doskonale do roli — reprezentowała instytucję tronu w związku z wielką siłą, a do władzy absolutnej nie zwyła pretensji z braku kwalifikacji umysłowych. Stąd może jej popularność, z tego powodu nadano jej imię epoki. Dlatego, że tak umiejętnie i bez protestu wypełniła zadanie, które czasami koronie angielskiej wyznaczyły.

Ton książki dostrzyżony jest do treści. Postać Wiktorii potraktowana inaczej, niż w sposób plotkarsko-aneddotyczny, jakiego użył Strachey — nie wystąpiłaby tak okazała w całej swej bezmiernej przeciętności. Odslanianie kulisów historii służy Zweigowi do umotywowania psychologicznego i wy tłumaczenia wszelkich postępów badanej postaci. Stracheyowi zaś daje okazję do ironicznych uwag nad minionym wiekiem, wspaniale zresztą trafnych i dowcipnych. W ujęciu Stracheya Wiktoria dzięki swemu ograniczeniu staje się czytelnikowi głęboko niesympatyczna, mimo bezwzględnej prawości charakteru.

Książka Stracheya jest wyrokiem śmierci, wydanym przez nasze czasy na cnoty ery wiktoriańskiej.

ANTONINA SPANDOWSKA

MARIA KRÜGER

## Nowe książki dla młodzieży

MJR ADAM WOJTYGA: *Turnieje Lotnicze*. Wydawnictwo Książek Szkolnych. Warszawa. Str. 170.

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI: *Oko Proroka*. Wydawnictwo Macierzy Szkolnej we Lwowie. Str. 400.

ZOFIA KOSSAK: *Bursztyny*. Wyd. Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 206.

L. ŻYCKI-MALACHOWSKI: *Tajemnice Hoggaru*. Wyd. Nasza Księgarnia. Warszawa. Str. 143.

Dzisiejsza transpozycja bohaterskiego romantyzmu — poezja ryzyka, odwagi i błyskawicznej decyzji lotników, stanowi najbardziej emocjonujący temat przede wszystkim we współczesnej literaturze dla młodzieży. Supremacja tego tematu ponad innymi jest zupełnie zrozumiała — najszlachetniejszy w gatunku heroizm w połączeniu z atrakcyjnością postępu techniki lotniczej posiada nieprzemowny urok. Nie brak jest więc powieści i opowiadań lotniczych — niektóre z nich posiadają wysoką klasę. Najbardziej wartościowe są te, które opierają się na materiale autentycznym. Źródłowość jest dużym walorem, a młody czytelnik, który zawsze bardzo docenia autentyczność podawanych mu wiadomości, chętniej wtedy interesuje się zarówno samą książką, jak i sprawami lotniczymi.

Wydana ostatnio przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych książka majora-pilota Adama Wojtygi p. t. *Turnieje lotnicze* jest książką pełnowartościową. Obejmuje ona historię challenge’ów i ich organizacji oraz bardzo interesujący materiał sprawozdawczy z ich przebiegu, przy czym szczególnie dużo miejsca poświęca wspomnieniom o Żwirce i Wigurze. Wspomnienia te dalekie są od sztucznego patosu. Rysują one sylwetkę Żwirki prawdziwie i wyraziście — bez trywialnego, sentymentalnego retuszu.

Przybyła więc piśmiennictwu dla młodzieży dobra książka. Szkoda tylko, że tak zaniedbano jej stronę graficzną. Okładka przypomina gwałtownie okładkę rozkładu jazdy P. K. P. w zmienionych nieco kolorach. O ile chodzi o piśmiennictwo dla dorosłych sprawa t. zw. szaty graficznej postawiona jest bardzo dobrze, natomiast nie wiadomo dlaczego tak ponuro i po macoszemu traktowane są pod tym względem wydawnictwa dla młodzieży. Specjalnie właśnie dla młodzieży — o wydawnictwa dla dzieci dba się już więcej.

Trzeba doprawdy żałować, że tak np. nie-

efektywnie przedstawia się pod względem graficznym wydana przez Macierz Szkolną we Lwowie książka Władysława Łozińskiego *Oko Proroka*. Skromna szata graficzna tłumaczy się niewątpliwie szczupłością funduszu Macierzy. Nowe wydanie powieści Łozińskiego było dobrym pomysłem. Ta dawno napisana książka posiada wszelkie zalety dobrej powieści dla młodzieży. Przede wszystkim więc — doskonale podmalowane tło historyczne: początek 17 stulecia, oraz ciekawie nakreślony obraz ówczesnych stosunków handlowych i wędrowek kupców na szlaku Lwów — Turcja. Dobrze podtrzymana intryga, porządna porcja przygód, jakie przeżywa młodociany bohater Hanusz Bystry — dają w sumie interesującą lekturę.

Druga książka historyczna spośród ostatnich wydawnictw to *Bursztyny* Zofii Kossak. Ponieważ jest już mowa o okładkach, więc nie można przemielić, że i w tym wypadku przy całej staranności wydawnictwa, ładnym druku i dobrym papierze — dwubarwna okładka przedstawia się smutnie. Przypomina żywo rewelacje graficzne z 1910 roku.

Jeśli chodzi o treść książki — jest to szereg opowiadań, obrazków historycznych, z których fragmentaryczności wylaniają się dzieje Polski. Opowiadania, miejscami impresyjne, na ogół jednakowe w stylu, bez względu na charakter epoki, budzą wspomnienie starych opowiadań Pauliny Krakowowej „Z dawnych czasów”. Trzeba zaznaczyć, że książka Zofii Kossak posiada wdzięk łatwej literatury dla dorosłych — opowiadania zbyt są ornamentacyjne, zbyt ozdobne, aby były przekonujące i stanowiły łatwą literaturę dla młodzieży.

I jeszcze czwarta książka. Znowu oczywiście tragiczna okładka. Na pierwszy rzut oka — kolorowy program do granego obecnie filmu *Ogród Allacha*. Ale to nie jest program i nie *Ogród Allacha*, tylko *Tajemnice Hoggaru*, książka poczytnego autora podróżniczych powieści dla młodzieży, Życkiego-Malachowskiego, wydana przez Naszą Księgarnię. Powieść czyta się łatwo, szybko i z zainteresowaniem; reprezentuje ona typową literaturę rozrywkową dla młodzieży. Fantastyczna historia o podziemnych źródłach wody na Saharze, napisana jest przyjemnie i przystępnie. Na plus książki należy zapisać dość obficie podane wiadomości obyczajowe z życia Tuaregów.

MARIA KRUEGER



KRÓLOWA WIKTORIA



# ŚWIAT KSIĄŻEK

ANTONI WYSOCKI: *Polonez Ogińskiego. Powieść.* F. Hoesick. Warszawa. Str. 220.

O powieści historycznej wyraził się Brzozowski równo przed trzydziestu laty, iż „jest dokumentem epoki, w której powstała. Może w niej być mowa tylko o takiej przeszłości, która żyje w umyśle czytelnika, czy autora... Dla każdej epoki nie mniej charakterystyczne jest to, co ona myśli o przeszłości swojej, niż to, co sądzi ona o stanie swym obecnym”. — Jakże dobrze rozumie my te słowa w świetle takich utworów, jak *Czerwone tarcze* Iwaszkiewicza i w ogóle dzisiejszej mody na monografie historyczne w rodzaju Stracheya czy Ludwiga.

Czymże jest powieść Iwaszkiewicza, jeśli nie spojzeniem na postaci wieku XII przez szkła... zeissowskie! Henryk książę Sandomierski jakże bliski jest niepokojom duszy współczesnej. Inną postawę zajmuje Szczyłka w *Krzyżowcach*: nie modernizuje rycerzy krzyżowych, ale zbiera skrupulatnie wiadomości historyczne, zagłębia się w psychikę ówczesną i uwydatnia jej rysy znamienne, rysy, które ją interesują. Szczyłka nie poprzestaje na beznamiętnej kronice, złożonej z pracowicie wyszperanych szczegółów: uwypukla niektóre epizody z osobliwą mocą.

Do tej drugiej kategorii utworów historycznych zbliża się powieść Antoniego Wysockiego, który swoje zamilowania historyczne pokazał w cenionych przez krytykę *Zabawach mędrców* (1925). Sięgnął on



ANTONI WYSOCKI

wówczas do epoki Jagiellońskiej. *Polonez Ogińskiego* przenosi nas do połowy ubiegłego stulecia, do Kijowa: zielony karnawał, szalejąca „ochota” w roku 1842.

*Polonez Ogińskiego* rozgrywa się w przeciągu jednej nocy, podczas balu. Te

ramy akcji przypominają *Oziminę*. Tylko że Berent nie wykracza poza progi mieszkania warszawskiego, a Wysocki daje osobom występującym rodowody. Berent wykuwał olbrzymią płaskorzeźbę, skutkiem czego Ostap Ortwin uznał w swoim czasie budowę *Oziminy* za zbitą i ściętną do fasady tylko, do „plaszczyny frontowej”.

Podobną „fasadę”, ale mniej rzeźbiarską i brylowatą, zrekonstruował autor *Poloneza Ogińskiego*. Jakkolwiek akcja toczy się zwa-wo, w tempie nie tyle polonozowym, ile mazurowym — autor umiał przekazać nam szereg obserwacji i detali, świadczących, że wystudował epokę, że zajmowały go nie tylko ogólne linie batalii między rządami carskimi Kijowa i ich stosunek do Polaków, ale także np. „najważniejsze w sezonie wydarzenie Paryża”: walc na dwa pas.

Wszystko ujęte w ruchu, w dialogach, bez przyszłych popisów „dokumentarycznych” czy rozpraw ideowych.

Raz dokola! Gdzież to jesteśmy — w rosyjskim Kijowie? Przecież wszędzie pełno Polaków, którzy mają za dużo „wyobraźni...” nie wyrzekli się mrzonek o wolnej Polsce, i to naturalnie o Polsce z czasów króla Bolesława Chrobrego.

General-gubernator Bibikow wdycha za okresem, kiedy bardziej bezwzględnie niż teraz Rosja była oddzielona od Zachodu ścisłym, nieprzepuszczalnym dla idei i niebezpiecznych druków, książek i czasopism, kordonem.

STANISŁAW BROCHWICZ: *Kobiety, które odeszły.* F. Hoesick. Str. 180.

Są to trzy nowelki, związane najogólniej tytułem: mowa w nim jest o *kobietach, które odeszły...* W pierwszym opowiadaniu p. t. *Z daleka przywołano mnie* — „młody doktor” zakochuje się w żonie swego zefa — na odległość, to znaczy dowiaduje się o niej z relacji męża. Takie zakochanie na dystans było tematem jednego z filmów niemieckich; tutaj autor nie pogłębia zagadnienia, poprzestaje na narracji wydarzenia, zakończonego zabójstwem rzekomego rywala: okazuje się, że Helena nie czekała na żadnego z nich i odeszła z trzecim.

*Lena* — to również znajoma na odległość. Znajomość została zawarta przez korespondencję. Pewien pisarz odnajduje w Lenie podporę duchową, liczy dni, które dziela go od jej przyjazdu: ona przysłała mu fotografię młodej pięknej kobiety, tymczasem okazuje się, że nie jest wcale młoda, że przysłała cudzą podobiznę.

*Umarli bronią się* — to makabryczny obrazek z czasów rewolucji bolszewickiej, gdy pióra jakiegoś Ewersa.

Autorowi nie brak pomysłów, stanowiących ogniw fabuły, niestety w ich realizacji wychodzi na jaw brak jakichś szerszych perspektyw, jakiejś naprawdę przejmującej wizji świata.

JAROSŁAW JANOWSKI

JAN GÓRSKI

 <p><b>Wybitne dzieła XX wieku są podstawą każdego księgozbioru</b></p>	<p><b>LITERATURA ŚWIATOWA</b></p>	<p><b>LITERATURA POLSKA</b></p>
<p>Seria wybitne „dzieła XX wieku” od dziesięciu lat zapoznaje szerokie rzesze czytelników polskich z najznakomitszymi utworami literatury. Nowe dzieła w tej serii — to szereg najwybitniejszych pozycji piśmiennictwa światowego:</p> <p>Głęboki i mądry <b>„Pamiętnik wiejskiego proboszcza”</b> Bernanos — dzieło, które uzyskało nagrodę powieściową Akademii Francuskiej w r. 1936.</p> <p>cena zł. 7.—</p>	<p>Ostatnie nowości:</p> <p><b>CH. BRAIBANT</b> — Marliza cena zł. — nagrada Th. Renaudot 1935</p> <p><b>Fr. de CROISSET</b> — Syngaleska bajka cena zł. 5.— Autor cieszący się wielkim powodzeniem „Pani z Malakki” opisuje swą podróż na Cejlon.</p>	<p>Ostatnie nowości:</p> <p><b>ARKADY FIEDLER</b> laureat nagrody miasta Poznania 1936 r.</p> <p><b>Ryby śpiewają w Ukajali</b> III wyd. cena zł. 7.—</p> <p><b>Zwierzęta z lasu dziewczęcego</b> II wyd. cena zł. 4.—</p> <p><b>Kanada pachnąca żywicą</b> II wyd. cena zł. 7.— W druku: <b>ZDOBYWAMY AMAZONKĘ</b></p>
<p>Marcelego Prousta <b>„W cieniu zakwitających dziewcząt”</b> — dalszy ciąg epokowego cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu”, najkapsitalniejszego dzieła literatury współczesnej.</p> <p>3 tomy cena zł. 21.— w opr. „ 27.—</p>	<p><b>H. de MONTHERLANT</b> Dziewczęta cena zł. 5.— głośna powieść „Wroga kobiet”</p> <p><b>J. PEYRÉ</b> — Światła i krew powieść o życiu i śmierci torreadora</p>	<p><b>POLA GOJAWICZYŃSKA</b> laureatka nagrody m. Warszawy 1935 r.</p> <p><b>Ziemia Elżbiety</b> II wyd. cena zł. 3.—</p> <p><b>Powszedni dzień</b> II wyd. cena zł. 5.—</p> <p><b>Dziewczęta z Nowolipek</b> 2 tomy, II wyd. cena zł. 14.—</p> <p><b>Rajska jabłoń</b> tom I. cena zł. 8.— W druku: <b>RAJSKA JABŁOŃ, tom II</b></p>
<p>Sygydry Undset <b>Olaf syn Auduna</b> przenoszący nas znowu w niezapomniany świat „Krystyny córki Larwra”.</p> <p>1 t. — cena zł. 8.—</p>	<p><b>Powieść HIST. - BIOGRAFICZNA</b></p> <p><b>A. MAUROIS</b> — Byron cena zł. 12.— Dzieło życia twórcy romantyzmu</p> <p><b>A. NEUMANN</b> — Nowy Cezar cena zł. 12.— Wielkość i małość ostatniego Bonapartego.</p>	<p><b>ZOFIA KOSSAK</b> laureatka nagrody śląskiej w 1932 r. i nagrody „Wiadomości Literackich” w 1936 r.</p> <p><b>Nieznany kraj</b> II wyd. cena zł. 7.—</p> <p><b>Pożoga</b> cena zł. 3.—</p> <p><b>Szukajcie przyjaciół</b> cena zł. 2.50</p> <p><b>Legnickie pole</b> cena zł. 6.— W druku: <b>SZALEŃCY BOŻY WIELCY I MALI</b></p>
<p><b>Książki do nabycia we wszystkich księgarniach</b> <b>TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”, WARSZAWA, KREDYTOWA 1</b></p>		

**Żądajcie bezpłatnych katalogów**



# PRZEGLĄD PRASY

**SŁÓWKO O ANONIMACH.** Wobec potwarzających się chronicznie w niektórych pismach, „zdziwionych”, „oburzonych” lub „zgorzognionych”, wzmiątek o „animowości” *Pionu*, o niepodpisywaniu w nim artykułów etc., wyjaśniamy raz jeszcze i ostatecznie: wszelkie artykuły i notatki, drukowane w *Pionie* bez podpisu, mają charakter w wypowiedzi redakcyjnych. Redakcja bierze za nie pełną i wylączną odpowiedzialność. Poza nimi prace, ogłaszane w naszym tygodniku, z reguły podpisywane są nazwiskiem autora; od 1 stycznia b. r. nie pojawił się w *Pionie* ani jeden artykuł sygnowany kryptonimem. Nie można tego powiódzić o wielu naszych pismach literackich i innych, stale obsługiwanych przez anonimowych „strzelców zza plotu”.

**HISTORIA PRZED SADEM WSPÓL-CZESNEJ LITERATURY.** „W latach mniej więcej 1919 — 1928 można było śmiało mówić i pisać o likwidacji powieści historycznej; i owszem, mówiono i pisało. Dziś jednak sprawa przedstawia się inaczej. Zaryzykować moglibyśmy nawet twierdzenie, że powoli ale nieodparcie zbliża się tej powieści renesans”. Ale zmieniły się jej formy. W wieku XIX rozkoszowano się swoistym egzotykiem przeszłości; obecnie akcentujemy wewnętrzną jednorodność, niezmienną człowieka w dziejach. Najzamienniejsze objawy tego zwrotu to rewizjonizm i aktualizacja. „Stąd... typowo reportażowy charakter większości współczesnych publikacji historyczno-powieściowych, istotnie znakomicie dogadzający smakowi i upodobaniom epoki ale za to fatalny częstokroć mający wpływ na poziom artystyczny utworu”. Popularne „odbrązowywanie” bohaterów, grupa tendencyjność, prymitywne rzutowanie sytuacji społecznej na przeszłość; a z drugiej strony dążność do „naukowości”, zblizanie do prawdy faktograficznej, dokumentaryzm, stosowanie najnowszych i najmodniejszych metod analizy psychologicznej — oto cechy charakterystyczne tej literatury. Modna *vie romancée* odpowiada nie tyle może „odradzającej się historiozofii idealistycznej, wyznającej iż historia to dzieło wielkich twórczych duchów jednostkowych”, ile raczej rozrywkowym potrzebom i zainteresowaniom powojennych rzesz czytelnicy. Nie brak dziś zresztą także (u A. Tełstoja np.) dekoracyjnej pompy, ulubionego przysmaku wszelkich dorobkiewiczów kultury. Słowem, w dzisiejszym renesansie historyzmu w literaturze zasadniczą rolę odgrywa zapotrzebowanie społeczne, lub zgola polityczne zamówienie; o wiele mniejszą — istotna potrzeba i racja duchowa. (Cytaty zaczerpnięte z artykułu T. Parnickiego w *Przebiegu Powszechnym*, z marca b. r.).

**REWIZJE W LOCIE.** *Kurier Poranny* wprowadził ciekawą inowację do swego działu literackiego. Zapowiedział mianowicie druk opinii i wrażeń literackich szeregu osób prywatnych, zamilowanych i gorliwych czytelników, ale nie uprawiających krytyki zawodowo. Redakcja spodziewa się wiele po tym dopuszczeniu do głosu „nowych ludzi”; wyraża nadzieję, że wniosła oni świeży powiew do zrutynizowanej krytyki warszawskiej; że trafniej nieuprzedzonymi oczyma rozeznają błyszczący preten-sjonalnie blichtrz i ukryte głęboko wartości. Taka konfrontacja ocen recenzentów zawodowych z opiniami prywatnych czytelników może mieć istotnie duże znaczenie dla krytyki i literatury.

Zapoczątkował tę serię szkic p. Koszyc-Szolańskiej o *Marcynie J. Kędziory*; szkic napisany wybornie, z werwą i zacięciem rasowego literata. Temat nie był co prawda wdzięczny; bez większego trudu, trafnie ocenila p. Szolańska *Marcynę* i poprzez *Marcynę* całą, snobistyczną nieco literaturę pseudo-chłopską, kopijującą do znużenia wzorki Reymonta. Mimo pewnego doktrynarystwa formalistycznego (nieczym z zawodowego krytyka...) głos p. Szolańskiej ciekawy, kompetentny i godny zanotowania, stanowi dobrą wróżbę dla „rewizji w locie”.

**CZY NIE KOKIETERIA?** Miesięcznik literacki *Studio* zajął od razu poczesne miejsce wśród współczesnych pism „kame-ralnych” (t. zn. nastawionych nie tyle na szeroki zakres oddziaływania, ile na pogłę-bioną i wartościową treść, zawartość). Pamiętamy z poprzedniego roku zajmujące prace krytyczne, T. Brezy o *Niebie w płomieniach* Paradowskiego, A. Łaszowskiego

o *Granicach*, S. Napierskiego o *Wolności tragicznej*, uwagi Z. Nalkowskiej o *pisanie* i w. in. Obecnie charakter pisma zaczyna się zmieniać. Numer nowy, potrójny (za stycznia — marzec r. b.) wyraża tę zmianę. Obok interesującego szkicu St. Ign. Witkiewicza o Wyspiańskim (świetna uwaga: „dla mnie Wyspiański był przede wszystkim autorem teatralnym w sferze czystej Formy, dramaturgiem *par excellence*, o przewadze charakteru wzrokowego, a bynajmniej nie wielkim literatem jako takim i malarzem, które to elementy jego natury, jako samostne, były słabe, a służyły za to świetnie twórcy scenicznemu”); obok bardzo wyrafinowanego i oryginalnego dramacjku K. Irzykowskiego *Osobliwy zbawca* — znajdujemy tu dwa prymitywne intelektualnie i artystycznie fragmenty pamiętnikarskie. Mają one stanowić zapoczątkowanie działu: *Robotnicy i chłopci o sobie*. Dziwaczne powiązanie tych gorzkich i bolesnych wyznań z tym zapowiedź redakcji, że „zapewniwszy sobie już dotychczas współpracę czołowych pisarzy polskich, będzie w roku 1937 drukowała prace o najwyższej wartości literackiej i społecznej”...

Osobliwie również brzmi w zestawieniu z tym zapowiedź redakcji, że „zapewniwszy sobie już dotychczas współpracę czołowych pisarzy polskich, będzie w roku 1937 drukowała prace o najwyższej wartości literackiej i społecznej”...

**PRO DOMO SUA.** Czasopismo *Lwów literacki* zaatakowało *Pion* w swym dziele sprawozdawczo-polemicznym „Zauważono”... Dział ten składa się z luźnych notatek, podpisywanych różnymi kryptonimami, notatek zazwyczaj nieodpowiedzialnych a nieraz ze sobą sprzecznych. Niejaki p. Krys wyczytawszy w *Pionie* zdanie, iż poezja *Skamandra* winna być poddana wszechstronnej i gruntownej dyskusji, interpretuje je w następujący sposób: „Czyli (sic), że należało by stanąć gromadą, ruszyć ławą, ukamienować uzurpatorów... wiadomo, (?) iż chodzi o rzeczy podskórne, zakulisowe. Poezja awangardowa nowej redakcji *Pionu* nie miała, nie ma i pewnie mieć nie będzie etc. etc.”. Pan Krys ma się jak widać za przenikliwego detektywa; ho, ho, jego nie zmylił, on wie co się święci w Warszawie. Ulega on jednak całkowitej auto-mistyfikacji.

## APEL DO POETÓW

Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego pracuje nad wydaniem antologii poetyckiej, która by zawierała materiały potrzebne do obchodu świąt świata pracy, uroczystych akademii, wieczorów towarzyskich i t. p.

Zarówno treść jak i forma tych wierszy muszą nosić charakter wybitnie dynamiczny, pełen buntu i walki o nową sprawiedliwość społeczną.

Zainteresowani Poeci, mający w swoich tekach odpowiednie utwory proszeni są o przesłanie ich do dnia 10 kwietnia b. r. na adres: Sekcja Widowskowska w Warszawie, ul. Nowy-Swiat 23/25, dla Zarządu Głównego.

## Z POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

W dniu 20 i 21 marca odbyły się zebrania Polskiej Akademii Literatury.

W obradach wzięli udział: prezes Wacław Sieroszewski, wiceprezes Leopold Staff, sekretarz generalny Juliusz Kaden-Bandrowski, oraz akademicy literatury: Wacław Berent, Ferdinand Goetel, Karol Irzykowski, Juliusz Kleiner, Bolesław Leśmian, Zofia Nalkowska, Zenon Miriam Przesmycki, Jerzy Szaniawski i Tadeusz Boy-Zeleński.

Obradowano nad organizacją funduszu wieczystego im. Józefa Piłsudskiego, któremu nadano charakter funduszu stypendialnego, przeznaczonego na doskonalenie młodych pisarzy, oraz zalatwiono sprawy bieżące.

W drugim dniu obrad powzięto rezolucję w sprawie organizacji funduszu kultury narodowej im. Józefa Piłsudskiego.

Oto tekst rezolucji:

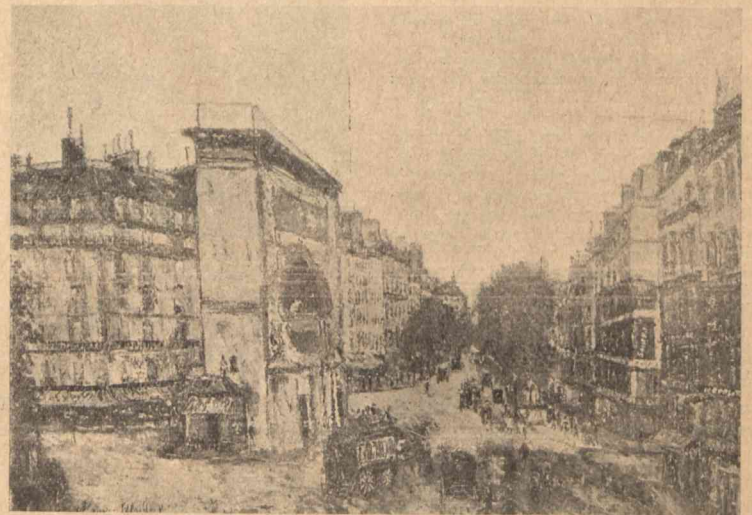
„Polska Akademia Literatury wobec toczącej się dyskusji w Izbach parlamentarnych nad statutem funduszu kultury narodowej im. Józefa Piłsudskiego — wyraża przekonanie, że w ostatecznym układaniu statutu wezmą udział obok przedstawicieli nauki także i przedstawiciele literatury i sztuki”.

## KONRAD WINKLER

# MALARSTWO FRANCUSKIE W REPRODUKCJACH

Niezwykły czar malarstwa francuskiego, jego wytworna prostota, lekkość, niewymuszona powaga i takt niezmierny — które to zalety podziwialiśmy na wystawie w Muzeum Narodowym — wywarły jak najkorzystniejsze wrażenie na elicie kulturalnej stolicy. W przeciwieństwie do ciężkiej, hemoroidalnej estetyki sztuki niemieckiej, którą się jeszcze u nas żywią przeróżne „Bractwa” i „Łoże” malarzkie złożone z nieopierzonych dostatecznie adeptów sztuki — malarstwo francuskie manifestuje swobodną, niewymu-

Nawiązując do Wystawy Malarstwa Francuskiego w Muzeum Narodowym, zasłużona spółka wydawnicza J. Mortkowieza urządziła w swym lokalu (Mazowiecka 12) nader interesujący pokaz barwnych reprodukcji facsimilowych z główniejszych obrazów impresjonistów francuskich, oraz niektórych artystów współczesnych, reprezentujących nowsze kierunki nad Sekwaną. Mamy tam więc reprodukcje z obrazów Maneta, Claude Moneta, Sisley'a, Pissarra, Seurat, Signaca, Van Gogha, Gauguina, Renoira, Cézanne'a,



M. UTRILLO

PORTE ST. DENIS

szoną twórczość jednostek o wyjątkowej kulturze i inteligencji, których szczyry i bezpośredni stosunek do najżywniejszych zagadnień malarzskich zmusza do szacunku nawet niekorzystnie a priori nastrojonego widza. Od chwili otwarcia wspomnianej wystawy — zmieniły się u nas gruntownie opinie i nastroje w stosunku do twórczości plastycznej zaprzyjaźnionego narodu, a dobitnym wyrazem tych przemian jest gwałtowna haussa na reprodukcje i publikacje z zakresu sztuki francuskiej dawnej i nowej.

Wystawa ta cieszy się dużym powodzeniem wśród artystów i coraz to liczniejszych zwolenników francuskiej sztuki.

KONRAD WINKLER

## KSIĄŻKI NADESLANE

**STRZELECKA ANNA:** *O królowej Jadwidze*. Studia i przyczyny. Str. 96. Lwów, 1934. Archiwum Tow. Naukowego w Lwowie. Dz. II. Tom XIV, z. 2.

**SKRZYPEK JÓZEF:** *Południowo-uchodźnia polityka Polski od koronacji Jagielly do śmierci Jadwigi i bitwy nad Worskłą*. (1386 — 1399). Lwów, 1936. Str. 129. Arch. Tow. Nauk. w Lwowie, Dz. II, Tom XXI, z. I.

**LUDWIK KOLANKOWSKI:** *Polska Jagiellonów*. Dzieje polityczne. Str. 374, il. 74. Lwów, 1936.

**JAN ST. BYSTRON:** *Nazwiska Polskie*. Str. 334. Wydanie II. Książnica-Atlas. Warszawa — Lwów, 1936.

**LUDWIK ŁAKOMY:** *Kwiaty na haldach*. Str. 160. Katowice. Księg. T. Mikulskiego.

**JOLAN FÖLDES:** *Ulica Kota Ryboliczy*. Str. 304. Warszawa — Lwów. Książnica-Atlas, 1937.

**KAZIMIERZ TETMAJER:** *Wybór poezji*, w oprac. J. Lorentowicza. Str. 226. Lwów. Ossolinum. Bez daty.

**HENRYK RZEWUSKI:** *Listopad*, w oprac. K. Wojciechowskiego. Str. 632. Lwów. Ossolinum. Bez daty.

**STANISŁAW CYWINSKI:** *Na warsztacie literatury*. Recenzje. Stron 146. Odbitka z „Dziennika Wileńskiego”. Wilno 1937.

**JERZY BIERNACKI:** *Mieszanka chropowata, galunek drugi*. Poezje. Stron 46. Warszawa 1936.

**JÓZEF MIRSKI:** *Wychowanie i wychowawca*. Stron 342. Wyd. „Nasza Księgarnia”. Warszawa 1936.

**JÓZEF SOSNOWSKI:** *Myśli niepodległe*. Str. 58. Wyd. Główna Składnica Harcerska. Warszawa 1936.

**LUDWIK SZCZEPANSKI:** *Cuda współczesne*. Stron 204. Wyd. „Natura i Kultura”. Kraków 1937.

**SYGRYDA UNSET:** *Olaf, syn Auduna*. Powieść historyczna. Tom I. Stron 349. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**P. G. WOODHOUSE:** *Miłość na okęcie*. Powieść. Stron 214. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**KAROL W. ZAWODZINSKI:** *Błaski i nędze realizmu powieściowego w latach ostatnich*. Stron 62. Warszawa 1937.

**GEORGES BERNANOS:** *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*. Powieść. Stron 308. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**TADEUSZ HIZ:** *Talent, dziwactwo i jeszcze coś*. Wspomnienia. Stron 285. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**ZYGMUNT JURKOWSKI:** *Księżycowe interesy*. Powieść. Stron 332. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**ANDRÉ MAUROIS:** *Byron*. Powieść biograficzna. Stron 398. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**JANINA MIEDZIŃSKA:** *Na niemieckim froncie pracy*. Reportaż. Stron 202. Z ilustracjami. Wyd. Biblioteka Polska. Warszawa 1937.

**R. DUFF-COOPER:** *Talleyrand*. Powieść biograficzna. Stron 378, z ilustracjami. Wyd. J. Przeworski. Warszawa 1937.

**WACŁAW LEDNICKI:** *Puszkini*. Szkice literackie. Stron 64, z ilustracjami. Wydano w serii p. t. Prace Polskiego Tow. Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Kraków 1937.

**ALFRED NEUMANN:** *Nowy cesarz*. Powieść historyczna. Stron 718. Wyd. „Rój”. Warszawa 1937.

**JAN STRZEMBOSZ:** *Pożyczka zagraniczna*. Powieść. Stron 352. Wyd. Księg. św. Wojciecha. Poznań — Warszawa. Bez daty.

**J. SURYNOWA-WYCZOLKOWSKA:** *Jego kobieci*. Powieść. Stron 228. Wyd. Księg. św. Wojciecha. Poznań — Warszawa. Bez daty.



**SKŁADAJCIE OFIARY na Pomoc Zimową dla bezrobotnych KONTO P. K. O. NR. 70.200 POMOC ZIMOWA**

**Redakcja:** Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.  
**Administracja:** Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

Wydawca: Towarzystwo Kultury i Oświaty